CENA 7,90 zł w tym 8% VAT ● NR 7 (1795) ● 14–20 lutego 2025

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

kolacja walentynkowa

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 6f92167abc

WOJNA DOMOWA

Sekretarz obrony USA Pete Hegseth przyjechał do Brukseli i ogłosił: *Musimy zacząć od uznania, że powrót do granic Ukrainy z 2014 r. jest celem nierealistycznym. Pogoń za tym iluzorycznym celem tylko przedłuży wojnę i spowoduje więcej cierpienia. Stany Zjednoczone nie wierzą, że członkostwo Ukrainy w NATO jest realistycznym wynikiem wynegocjowanego porozumienia.* Minister obrony narodowej Polski zrozumiał z tego tyle: *Obecność i zaangażowanie sekretarza obrony USA w tę dyskusję pokazuje i daje taki silny polityczny sygnał do wszystkich mieszkańców Polski, do wszystkich mieszkańców Europy, ale przede wszystkim dla mieszkańców Ukrainy, o tym, że wsparcie jest i będzie kontynuowane.* Myślicie, że on tak serio?

Donald Tusk udał się do gmachu Giełdy Papierów Wartościowych i ogłosił, że Polska stanie się krajem mlekiem i miodem płynącym, albowiem poziom inwestycji w tym roku będzie taki sam jak w poprzednich, po uwzględnieniu inflacji. Z bliżej niewiadomych przyczyn premier uznał to za wielki sukces swojego rządu. Tusk obiecał też biznesmenom, że będzie im wolno wszystko (bo dotychczas, jak się okazuje, nie było). Konferencja odbyła się pod hasłem „Polska. Rok przełomu", które ma nawet własne logo w postaci dwóch koron – białej normalnie i czerwonej do góry nogami, jak król w talii kart. Korona nawiązuje do 1000. rocznicy koronacji Chrobrego, który wyróżniał się – wedle słów premiera – odwagą i sprytem. Inaczej mówiąc, wzorcem do naśladowania dla szefa polskiego rządu w trzeciej dekadzie XXI w. jest niepiśmienny bigamista, który oślepił starych doradców swego ojca i zgwałcił siostrę pokonanego wroga. Za to – zauważyłby pisowiec – dogadywał się z Niemcami.

W pierwszym rzędzie siedział Rafał Brzoska z żoną pogodynką, premier wyłowił go wzrokiem i powierzył mu zreformowanie całego polskiego prawa gospodarczego, ekologicznego, prawa pracy i wszystkich innych kodeksów, które w jakikolwiek sposób dotyczą biznesu. Pytanie, co robiła pogodynka w pierwszym rzędzie na spotkaniu prezesa Rady Ministrów z szefami największych polskich przedsiębiorstw, nie padło, bo jak ktoś ma półtorej dużej bańki papieru, to takich pytań mu się nie zadaje. Przynajmniej nie dosiadła męża na barana i nie wsadzała mu palców do uszu, co wyraźnie odróżnia ją od czteroletniego syna Elona Muska w Gabinecie Owalnym.

Po premierze Tusku wystąpił jego główny księgowy zatrudniony na etacie ministra finansów i opowiedział, na co premier będzie wydawać pieniądze oraz jakie podatki zostaną zmniejszone. Komentując wystąpienie ministra finansów, wredny jak zwykle Marek Belka odnotował, że miał wrażenie, iż wypowiada się minister gospodarki, albowiem o finansach – a konkretnie finansowaniu tych wszystkich planów – nie było ani słowa. Minister gospodarki był nieobecny – może dlatego, że takiego nie mamy – ale nie było także ministrów rozwoju, przemysłu, aktywów państwowych czy funduszy. Pojawiła się supozycja, że nie wiedzieli o evencie, albowiem nie są z PO, więc w sumie nie muszą nic wiedzieć. Z niejaką przyjemnością odnotowujemy, że lewicowa kandydatka na prezydencicę Magdalena Biejat ośmieliła się wyrazić wątpliwość: „Nikt w wyborach nie głosował na Rafała Brzoskę. Miliarderzy nie mogą układać polityki gospodarczej państwa".

Kandydat Trzaskowski udał się do Dęblina, gdzie ustawił się między dwoma byłymi gromowcami i odstawił twardziela. *Jestem absolutnie przekonany, że dzisiaj bezpieczeństwo, odporność, odstraszanie zaczyna się od każdej gminy, ba, zaczyna się od każdej rodziny* – orzekł kandydat PO na prezydenta. Odstraszanie w każdej rodzinie nieco nas nastraszyło – a jeszcze bardziej zaniepokoił nas chorąży Sławomir Kędzierski, który reklamował swoją użyteczność dla lokalnej „straży leśnej i zakładu karnego" informacją, że jest „po paru misjach bojowych w Iraku w Afganistanie". Z całym szacunkiem dla weteranów: po pierwsze – co, do kurwy nędzy, polscy żołnierze robili w dwóch krajach, które ani nas nie zaatakowały, ani nie zapraszały? Może ktoś by wreszcie po dwóch dekadach od tej katastrofy zadał to pytanie? I po drugie: wizja gromowca po Iraku i Afganistanie w mundurze straży leśnej, obezwładniającego babcię za nielegalny zbiór chrustu, jakoś nie sprawiała że poczuliśmy się bezpieczniej.

Z kolei kandydat Nawrocki, zapytany, co myśli o ustawie incydentalnej powierzającej stwierdzenie ważności wyborów prezydenckich 15 najstarszym sędziom SN, zrobił dokładnie to, co PiS z takim oburzeniem zarzuca Bodnarowi. *Jako kandydat na urząd prezydenta, który jest jednocześnie prezesem Instytutu Pamięci Narodowej, widzę pewną kuriozalną część tej propozycji* – ogłosił. *Bowiem tych 15 najdłuższych stażem sędziów SN swoją karierę rozpoczynało w czasach PRL-u, czyli w latach 80., więc mają związek z systemem komunistycznym. Myślę, że to będzie niezdrowa sytuacja, w której wygram wybory prezydenckie…* Tu kandydat się zawahał i uściślił: *To, że wygram, będzie zdrowe i oczekiwane przez polskie społeczeństwo, ale niezdrowe będzie to, że decyzję o ważności tych wyborów będzie podejmować 15 sędziów, którzy swoją karierę rozpoczynali w PRL-u.* Naszym zdaniem to wykształceni przez Polskę Ludową sędziowie, zatwierdzając wybór faceta, który z kłamania o Polsce Ludowej zrobił sobie zawód, mogliby się poczuć niezdrowo. Znaczy porzygać.

AWŁ

Joannie Senyszyn
serdecznie współczują
przyjaciele z „NIE"

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

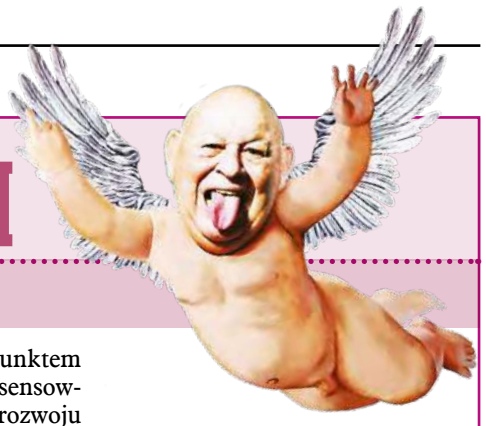

Luty 2013 r.

Świętej Marceliny

Lud woła: dróg i pracy. Myślałem, że rząd wykombinował zgrabny trik. Spowodował alarm, że Unia Europejska obetnie nam 11 miliardów na drogi. Wtedy Tusk wysłał do Brukseli dwoje ministrów. Pstryk i po nieszczęściu, bo gabinet Tuska jest sprawny i wszechmocny.

A tu w telewizji pojawia się Janusz Lewandowski tytułowany „panie komisarzu" (chociaż nie komisarzu ludowy jak Dzierżyński). I ta miarodajna osoba sugeruje, że krzyk o utracie miliardów był fałszywką PiS, nie zaś sztuczką rządu. Partia Kaczyńskiego chce rządzić, ale co się ruszy, to wzmacnia Platformę.

Czekam na taki pochód kaczystów, który niechcący wprowadzi Polskę do strefy euro i w obszar euromałżeństw homoseksualnych.

Świętej Eli

Na czeskim Śląsku Cieszyńskim Polacy awanturują się o jakiś pomnik, więc mamy już kłótnię ze wszystkimi sąsiadami z wyjątkiem Niemiec. Przy tym są to spory o przeszłość, nie o przyszłość. O nieodwracalne, a nie o tworzone.

Pozwalam sobie zauważyć, że zabici w Katyniu i tak by już nie żyli.

Świętego Błażeja

Posłance Krystynie Pawłowicz Szymborska nie kojarzy się z wierzbą. Mnie też, ponieważ poetka nie jest drewniana. Owa Pawłowicz została pisówą do bicia, ponieważ obraża ludzi, chociaż jest naukowcem. Czytam, że pracownik naukowy, intelektualista to ktoś, od kogo wymaga się rozumu, układności, kultury. Mówią to i piszą ludzie, którzy chyba nie byli nigdy studentami, nie obcowali więc z profesurą.

Za moich czasów na ludnym wykładzie osławiony z powodów naukowych profesor publicznie powiedział do mojego kolegi: *Ty mały chujku*. Kolega wstał, powoli rozpiął guziki rozporka (tak wtedy szyto) i pokazał. Profesor ukłonił się głęboko i rzekł: *A, to przepraszam*.

Pamiętny profesor historii powiedział na zajęciach do studentki: *Pani jest głupią krową*. Nazwana tak poleciała na skargę, wołając, że jest w ciąży, przez co się rozumie, iż jest krową świętą, a nie głupią. Wykładowcy kazano przeprosić ją. Oznajmił publicznie: *Przepraszam, że nazwałem panią głupią krową, ale nie wiedziałem, iż jest pani taką głupią krową, że poleci z tym na skargę*.

Dziekan mojego wydziału zerżnął swoją studentkę, która żyła w parze z jego też studentem. Narzeczony dał dziekanowi po mordzie. Uczony, widząc potem tę parę w uściskach, w trakcie przerwy między wykładami osobiście zeskrobywał plamy na podłodzie, żeby dać do analizy, czy to aby nie sperma. Trudno o większych chamów i idiotów niż uczeni polscy, bo Einstein jaki był, taki był, ale przynajmniej grał na skrzypcach.

Świętej Weroniki

Nie jestem za tym, aby nawrócić Polaków na islam, ale nie jestem też przeciw temu.

Powtórnie obejrzałem irackie arcydzieło filmowe „Rozstanie", które dostało Oscara. Punktem wyjścia dla fabuły jest bezsensowny zakaz religijny. W jej rozwoju wiara zaczyna ważyć odmiennie. Nędzarka nie przyjmie dawanych jej pięcioletnich zarobków z powodu doktrynalnego zakazu oszustwa. W sytuacji dramatycznego wyboru nie popełni krzywoprzysięstwa z ręką na Koranie, choć dynamicznie kłamie, póki nie stosują do niej tej magii. Wszyscy liczni bohaterowie wpadają w sytuacje bez wyjścia, którego także wiara nie daje, ale wpływa ona na postawy. Wreszcie sądy działające wedle wskazań islamu są mądrzejsze i wnikliwsze niż nasze.

Katolicyzm wytwarza absurdalne normy moralne, z którymi liczy się mniejszość wyznawców, natomiast nie stanowi w ogóle motywacji postępowania wobec innych. Katolicyzm funkcjonuje sam dla siebie. Dlatego Mahomet góruje nad Chrystusem, ale najlepszy jest oczywiście Palikot.

Świętej Agaty

Już w Astrachaniu łowią kawior na moje 80. urodziny, czas więc opowiedzieć młodszym, jak się bytuje przed końcem. Zdrowi staruszkowie dzielą się na dziarskich i ospałych. Ja unikam ruszania się. Brakuje nam cierpliwości. Kiedyś wódkę piłem kieliszkami, teraz muszę używać do tego szklanki. Trudno myć żołądź, bo penis tak się kryje, że nie sposób się do niego dogrzebać. Wszystko robi się wolniej albo wcale. Wydajność pracy jest skandalicznie niska. Z drugiej strony... i właśnie zapomniałem co. Dopiero na starość człowiek czuje, że żyje, to znaczy ma organizm. Ten organizm młodym nie daje znaku istnienia, a staremu zawsze coś strzyka, swędzi go, mdli, prze, pobolewa i każe myśleć o ciele, i to własnym, a nie pięknej modelki.

Połączenia w mózgu są spowolnione niczym w internecie. Jak się nazywam? Sekunda namysłu. Kto był żoną Zeusa – trzy sekundy, kto jest żoną Tomasza Lisa – do 10 sekund. Z pamięci wygrzebuje się wiedzę jak nędzarz żarcie ze śmieci. Starzec nie lubi zmian ani trudnych decyzji, np. kotlet mielony czy siekany. I ceni nie to, czego ma za mało (jak normalni ludzie): karierę, majątek, seks, samochód jakiegoś rodzaju. Starzec ceni to, czego ma za dużo: spokój.

Jak się ma do niej zdrowie, starość nie jest taka zła, ale jestem zwolennikiem eutanazji, nawet dokonywanej z pewnym przymusem. Skoro sensem życia jest samo życie, należy je kończyć w porę, podobnie jak film, dramat sceniczny czy powieść. A kiedy ta pora nadchodzi – to kwestia smaku.

Świętego Gastona

Żona Daniszewska zawsze wyznacza kobiety, które mi się podobają, i nigdy nie trafia. Zawsze błędne zazdrości. Jak raz trafiła w moje gusta, to już zostaliśmy ze sobą. Uważam ją za kobietę jednorazowo nieomylną. Notabene kiedy pierwszy raz w życiu poszedłem na kurwy, to nie straciłem dziewictwa, a gdy ostatni raz, to straciłem majtki (ukradła).

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- Jak alarmuje niedziela.pl, **Szwajcarski Katolicki Związek Kobiet** rezygnuje z katolickości w nazwie. Trzeba niedzieli.pl przyznać, że w tekście ani razu nie wspomniała o głupich szwajcarskich krowach.
- **Andrzej Duda** powiedział, że w ramach emerytury dostanie niewygórowane 11–12 tys. zł. Radzimy kontynuowanie kariery w rozrywce.
- **Beata Mazurek** została prezesem Lubelskich Dworców, których zadaniem jest zarządzanie dworcem PKS w Lublinie. Trzeba przyznać, że reszta kolegów już też na wyjeździe.
- **Mlekovita** zaprasza Polaków deportowanych z USA do pracy w swoich zakładach. Polakom deportowanym z USA zakład może nie kojarzyć się pozytywnie.
- 9 lutego **Pałac Prezydencki** świętował Międzynarodowy Dzień Pizzy. Ciekawe czy 31 marca będą obchodzić Międzynarodowy Dzień Budyniu?
- Na **Santorini** przeszła procesja w intencji zakończenia trzęsień ziemi. To się Posejdon dopiero zirytuje!

MARTA M.

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Szanowna redakcjo!

W numerze 6. „NIE" z roku bieżącego przeczytałem w rubryce „Listonosz doniósł" list krytykujący hymn ukraiński. Pozwolę się z Szanowną Autorką nie zgodzić.

Czymże różni się od krytykowanego nasz polski hymn? Przecież też „nie zginęła, póki my żyjemy". Również „co nam zabrali – szablą odbijemy". A do rangi bohatera narodowego Najjaśniejszej awansował Napoleon, którego Wybicki umieścił w „Mazurku Dąbrowskiego". Napoleon, który skłócił Europę, podbijał kolejne europejskie kraje, wysłał polskich legionistów do stłumienia wolnościowych dążeń Haitańczyków. Polaków mamił stworzeniem samodzielnej państwowości – a polskie legiony były mu jedynie potrzebne do własnych podbojowych dążeń.

Nie widzę różnicy w treściach obu hymnów. Tym bardziej że oficjalne wykonania hymnu ukraińskiego zawierają jedynie pierwszą zwrotkę, w której brak jakichkolwiek nieprawomyślnych treści. Zaś polski hymn we wszystkich zatwierdzonych zwrotkach ma treści nawołujące do walki.

BARTEK MAJERAN

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl 6f92167abc

Panie Rafale, bierze pan to?

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Deregulacja to zło

Nie, nie będzie o Brzosce. Będzie o deregulacji. Bo o ile pomysł zaproszenia lisa do kurnika wzbudził jednak pewne wątpliwości – sam koncept wyrżnięcia kur komentariat łyknął jak świnia kluskę.

Groza niedokręconej Coca-Coli

Koledzy i koleżanki, a także tzw. eksperci, nawet jak mają wątpliwości co do postaci Brzoski – nie próbują nawet pytać o sens samego pomysłu deregulacji.

Więc może warto wyjaśnić, czym naprawdę jest „de-re-gu-lac-ja" – jak dobitnie sylabizował premier na spotkaniu z Brzoską i jego kolegami po fachu.

Jest to otóż likwidacja standardów, narzucanych przez państwo kapitałowi: jakościowych, zdrowotnych, pracowniczych, konsumenckich, ekologicznych. Tego wszystkiego, co sprawia, że ciągle jednak nie żyjemy w „Ziemi obiecanej", tylko w Europie mniej czy bardziej aspirującej do rangi państwa dobrobytu.

No dobra, dobra – odpowiedzą w tym miejscu entuzjaści deregulacji – ale co z krzywizną banana? To skądinąd bardzo dobry przykład fałszywej propagandy: rozporządzenie KE z 1994 r., ustanawiające normy jakości bananów, zostało przyjęte nie z biurokratycznej fantazji urzędników, tylko na żądanie importerów bananów, którzy chcieli móc handlować swoim towarem w całej Unii, a nie tylko w swoich krajach. Ale, tak, oczywiście – Unia przyjmuje pewną liczbę bezsensownych regulacji. Moim ulubionym przykładem są nieszczęsne nakrętki niezgubki: może należało rozpocząć od kampanii społecznej, tłumaczącej obywatelom, że koncept zbierania nakrętek na wózki inwalidzkie – reklamowany od paru dekad – jest już nieaktualny, a dopiero jakby to nie zadziałało, na siłę przytwierdzać je do butelek?

Ale wiecie co? Nadmiar regulacji może spowodować, że zalejecie się niedokładnie zakręconą Coca-Colą. Niedostatek regulacji – że wypierdoli się trzykilometrowy pociąg wiozący pół miliona litrów rakotwórczego chlorku winylu i trzeba będzie utylizować 170 tys. ton skażonej gleby i 150 tys. litrów skażonej wody. Albo że spłonie 24-piętrowy wieżowiec i 72 osoby zginą w pożarze. Nie wiem, jak państwo – ale ja wolę spierać plamy po Coli.

Żeby nie być gołosłowną.

Precyzyjnie zaplanowane pociągi

Katastrofa kolejowa w East Palestine w stanie Ohio z 3 lutego 2023 r. – ta od chlorku winylu – to bezpośredni efekt czegoś o nazwie Precision Scheduled Railroading (PSR), co można przetłumaczyć jako „precyzyjnie zaplanowany transport kolejowy".

Na ten genialny pomysł – możliwy dzięki całkowitej deregulacji kolei – wpadł niejaki E. Hunter Harrison w 1993 r. Dziś stosują go wszyscy przewoźnicy towarowi w USA. Idea sprowadza się do – niespodzianka – cięcia kosztów. Pociągi mają po 5 km długości; są obsługiwane przez dwie osoby (przewoźnicy chcą to zmniejszyć do jednej); czas inspekcji wagonu, pod kątem np. pękniętych osi, skrócono z ośmiu minut do 30 sekund, co naturalnie nieco obniża bezpieczeństwo. W roku poprzedzającym katastrofę w East Palestine, w USA doszło do ok. 1000 wykolejeń pociągów; choć prawda, nie tak spektakularnych.

Poza tym w związku z oszczędnościami na serwisie i taborze pociągi te ciągle się psują, a ich długość powoduje, że blokują przejazdy, odcinają drogi. W 2022 r. takich sytuacji było 30 799, z których 958 trwało dłużej niż 24 godziny. Mieszkańcy zablokowanych miejscowości nauczyli się przechodzić pod wagonami – acz jest to do pewnego stopnia ryzykowne, bo kiedy lokomotywa jest 3 km dalej, motorniczy może ich nie zauważyć i po prostu ruszyć. Do tego nie ma żadnych przepisów dotyczących typów przewożonych substancji, wymogów cystern dla substancji niebezpiecznych, dopuszczalnych i niedopuszczanych dróg transportu. Ryzyko jest zauważalne – obliczono na przykład, że 22 wagony wypełnione gazem ziemnym w razie wybuchu mają siłę rażenia równą bombie z Hiroszimy. A, zapomniałam dodać, że państwowa agencja FRA, powołana do kontroli kolei, jest tak niedofinansowana, że garstka jej pracowników jest w stanie w ciągu roku skontrolować 1 proc. tego, co jej kontroli podlega.

Niepalność nieopłacalna

Wspomniany wieżowiec – Grenfell Tower w Londynie, który spłonął 14 czerwca 2017 r. – był elementem systemu budownictwa komunalnego z czasów przedthatcherowskich i wymagał remontu. Pożar zaczął się na czwartym piętrze od spięcia w stojącej przy oknie lodówce i w ciągu kilkunastu minut objął cały 67-metrowy budynek. Było to możliwe, albowiem do skończonego rok wcześniej ocieplenia użyto aluminiowych paneli z wysoce łatwopalnym wkładem z polietylenu. Stało się tak, mimo iż architekt projektujący ocieplenie proponował inny, niepalny materiał – ten wszakże był o 300 tys. funtów droższy. Lokalna rada zdecydowała zaoszczędzić, ponieważ nie było żadnych przepisów, które zabraniałyby ocieplenia wieżowców materiałem reagującym na ogień jak draska z pudełka zapałek.

Strażacy i inżynierowie od dawna domagali się wprowadzenia takich przepisów, ale „przyjazne biznesowi" brytyjskie rządy, laburzystów i torysów po równo, słuchały biznesu. *Wszelkie zmiany w fasadzie w celu spełnienia pojedynczego wymogu, takiego jak odporność ogniowa, będą miały wpływ na wszystkie inne aspekty wydajności ściany, a także na jej koszt* – napisał w opinii dla parlamentu Stephen Ledbetter, dyrektor grupy branżowej producentów okien i ocieplenia budynków – *ognioodporne ściany nie są ekonomicznie opłacalne*. W 2005 r. rząd Tony'ego Blaira wydał *rozporządzenie w sprawie reformy regulacyjnej (bezpieczeństwo pożarowe)*, które stanowiło, iż o bezpieczeństwie przeciwpożarowym zamiast państwowych inspektorów decydować będą właściciele budynku na podstawie samodzielnie wypełnionej ankiety.

Kto się założy, że tego typu rozwiązanie znajdzie się w propozycjach Brzoski, który dużo mówił o tym, jak zbędne przepisy ograniczają inicjatywę deweloperów?

Ten sam koncept – samoregulacji zamiast kontroli przez państwowych urzędników – legł u podstaw dwóch katastrof Boeinga 737 Max: 29 października 2018 na Morzu Jawajskim oraz 10 marca 2019 r. w Etiopii. Katastrofy były efektem wady konstrukcyjnej – która nie została wykryta przy dopuszczaniu tego modelu do użytkowania – albowiem Federalna Administracja Lotnictwa (FAA) scedowała swoje obowiązki kontrolne na Boeinga. Nietrudno się domyślić, że jego pracownicy stwierdzili to, co kazało im kierownictwo, czyli że samolot jest tip top i gotowy do lotu. Efekt: 346 zabitych.

Banksterzy z brzytwą

Deregulacja dewastuje nie tylko zasady fizycznego bezpieczeństwa. Światowy kryzys finansowy z lat 2008–2009, wywołany zapaścią na amerykańskim rynku pożyczek hipotecznych wysokiego ryzyka, był bezpośrednim efektem kilku dekad deregulacji. Usunęły one z amerykańskiego systemu bankowego bezpieczniki wprowadzone tam po wielkim krachu z roku 1929: Reagan zniósł wymóg wkładu własnego przy kredytach hipotecznych, Clinton zlikwidował ustawę Glassa-Steagalla zakazującą bankom spekulacji na rynkach finansowych etc. Chciwość banksterów, absurdalne spekulacje (czołowym przykładem są tu tzw. derywatywy), brak nadzoru ze strony państwa doprowadziły – bo musiały – do globalnego kryzysu. Z którego wyjście odbyło się – a jakże – na koszt podatników. W samych Stanach na tzw. bailouty – czyli ratowanie upadających banków – budżet federalny wydał pół biliona dolarów.

Nie była to zresztą pierwsza katastrofa związana z deregulacją sektora finansowego. Wcześniej nastąpiła deregulacja kas oszczędności. Kasy, spółdzielcze instytucje parabankowe, pierwotnie mogły tylko przyjmować depozyty i udzielać długoterminowych kredytów hipotecznych z regulowanymi odsetkami. W 1982 r. Kongres przyjął tzw. ustawę oszczędnościową Garn-St Germain, uwalniającą kasy od tych ograniczeń. Zaowocowało to upadkiem tysiąca z 4 tys. istniejących, kolosalnym kryzysem finansowym, bankructwem wielu klientów i oczywiście koniecznością zaangażowania pieniędzy budżetowych w ratowanie sytuacji.

Ciemno, zimno, drogo

Deregulacja energetyki z kolei przyniosła pamiętne „zaciemnienie Kalifornii" z lat 2000–2001, kiedy to niekorzystne zjawiska pogodowe, połączone z zaniedbaniem sieci przesyłowych (nie było przepisów ani instytucji, które egzekwowałyby dbanie) zostały wykorzystane przez producentów energii do sztucznych przerw w dostawach, co pozwoliło na windowanie cen. Wielkie firmy z sektora energetycznego – takie jak Enron, który był czołowym lobbystą deregulacji – wykupiły kalifornijskie elektrownie, po czym zarobiły miliardy na sprzedawaniu bardzo drogiego prądu tym samym firmom, które chwilę wcześniej zostały zmuszone do sprzedania im swoich elektrowni. Godny odnotowania jest fakt, iż miasto Los Angeles, które zachowało publiczną własność elektrowni, było jedyną częścią Kalifornii niedotkniętą kryzysem

Z kolei w 2021 r. w Teksasie zdewastowane sieci i zderegulowany rynek energii doprowadziły do wyłączeń prądu w milionach domów w momencie ataku mroźnej zimy. Dziesiątki osób zamarzły na śmierć, parę spłonęło wskutek prób ogrzania się przy prowizorycznym ognisku w przyczepie kempingowej, która była ich domem. Ci nieliczni, którym prądu nie wyłączyli, czuli się szczęśliwcami – aż dostali rachunki po 16 tys. dolków. Bo ceny też oczywiście są zderegulowane.

W mediach dla odmiany najbardziej dewastującym efektem deregulacji jest faktyczny zanik pluralizmu. 40 lat temu na rynku medialnym USA było miejsce dla 50 firm, do których należało 90 proc. amerykańskich środków masowego przekazu. W 1996 r. w życie weszła ustawa o telekomunikacji, która zniosła przepisy Federalnej Komisji Łączności (FCC) dotyczące tzw. własności krzyżowej. Dziś 90 proc. amerykańskich mediów należy do sześciu korporacji.

Regulacja – ostatni szaniec ludzkości

Zanim zatem beatyfikujemy proces deregulacji – warto zastanowić się nad tym, czym są regulacje.

Są to otóż przepisy dotyczące zasad wytwarzania produktów i świadczenia usług, zatrudniania i opłacania ludzi, jakości wyrobów i obrotu nimi, norm emisji, form własności, zezwoleń wymaganych dla różnych typów działalności gospodarczej etc. – a także uprawnień państwowych instytucji stojących na straży tych standardów. Przepisy te są ustalane w drodze politycznej decyzji przez parlamenty, czyli reprezentantów obywateli, aby chronić tych obywateli – czy to w roli pracowników, czy konsumentów, czy po prostu mieszkańców kraju – przed wyzyskiem, przed oszustwem, przez narażaniem na niebezpieczeństwo. Także przed utratą możliwości wyboru – wszak jednym z kluczowych efektów deregulacji są monopole.

Przedsiębiorcy, domagając się deregulacji, skowyczą, że istnienie przepisów nie pozwala im rozwijać inicjatywy, przez co ogranicza ich konkurencyjność. Popatrzcie na Rafała Brzoskę, którego osobisty majątek szacowany jest na 5,7 mld zł, podczas gdy Poczta Polska bankrutuje i zwalnia 9 tys. ludzi. Jakoś sobie chłopak radzi, nieprawdaż?

Legendy o konkurencyjności to zwykłe pierdolenie. Chodzi wyłącznie o to, żeby zarabiać więcej i szybciej: kosztem pracowników, kosztem jakości, kosztem bezpieczeństwa produkcji i produktów, kosztem środowiska naturalnego i tkanki społecznej.

To bardzo proste: chciwość jest jedyną filozofią wielkiego biznesu. Maksymalizacja zysku jest jedyną zasadą działania korporacji, które kontrolują nasz świat. Regulacje są jedyną bronią demokratycznego społeczeństwa przed ich bezwzględnością.

Pomysł, że jakikolwiek cwaniak z miliardami na koncie będzie się w swojej działalności kierował czymkolwiek innym poza kompulsywną potrzebą pomnażania tych miliardów – jest zbrodniczą naiwnością. Pół wieku neoliberalnej zglobalizowanej gospodarki nauczyło tego każdego, kto ma minimalne choćby rozumienie świata.

Czego by o Donaldzie Tusku nie mówić – nie jest on idiotą. Fetyszyzacja deregulacji w jego przypadku nie wynika z braku zrozumienia. To prosty wybór ideologiczny: w czyim imieniu i w czyim interesie chce rządzić.

Zauważyliście, że słowo „pracownicy" podczas spotkania Tuska z biznesem nie padło ani razu?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

O romansie Tuska z Brzoską czytaj też na str. 4

eprasa.pl 6f92167abc

Świat według Brzoski

Wszystkie mądrości polskiego Elona

MARCIN BONDAROWICZ

Rys.

Kiedy premier Najjaśniejszej publicznie łasi się do miliardera Rafała Brzoski, mówiąc, żeby ten zderegulował gospodarkę, i zapewniając żarliwie: „ja zamierzam się z wami regularnie spotykać, bo muszę od was dokładnie wiedzieć, co musi zrobić nasza administracja i ja jako premier" – to parę rzeczy jest jasne. Po pierwsze, władza jednoznacznie opowiada się za kapitałem przeciwko pracy. Po drugie, kierujący rządem sam się ustawia w roli petenta u super bogacza, poniżając cały aparat państwa. Po trzecie, oficjalną polityką będzie wdrażanie – jak mawiał ideowy ojciec liberalizmu i kapitalizmu Adam Smith – *nikczemnej maksymy panów*, a mianowicie: *wszystko dla nas i nic dla innych*.

A teraz zrobię wielką przyjemność Tuskowi, który na starość – natura ciągnie wilka do lasu – znów postanowił być liberałem, a dokładniej neoliberałem. Smith w „Teorii uczuć moralnych" – dziele filozoficznym, które pod koniec życia cenił wyżej od głośnego „Bogactwa narodów" – cierpko zauważa o bogaczu: *Wszyscy skwapliwie chcą na niego patrzeć i przynajmniej za sprawą sympatii wyobrazić sobie tę radość i triumf, które naturalnie wywołały jego warunki. Jego działania są przedmiotem ludzkiej uwagi. Nieomal żadne jego słowo, żaden gest nie jest całkiem zlekceważony. W dużym zgromadzeniu jest on osobą, na którą wszyscy skierowują oczy; z tego względu ich uczucia zdają się wyczekiwać z nadzieją, iż otrzymają od niego ten poruszający i nadający właściwy kierunek impuls i jeśli jego zachowanie nie jest całkowicie niedorzeczne, w każdej chwili dostarcza okazji do zainteresowania ludzi i do uczynienia siebie przedmiotem uwagi i współoddźwięku całego otoczenia*.

Skoro zaś odgórnie zarządzono, abyśmy spijali słowa z ust Rafała Brzoski niczym pracownica seksualna płyny fizjologiczne klienta, postanowiłam zaczerpnąć trochę z tej krynicy mądrości. Powyższa metafora jest o tyle trafna, że generalnie rozmowy z tym miliarderem są prowadzone na kolanach i przywodzą na myśl werbalną ilustrację kultowego pornola „Głębokie gardło".

Pamiętam, jak w podstawówce, na początku szalonych lat 90., koleżanka Marysia – klasowa piękność z dobrego domu – wręczyła mi kajecik i pamiętniczek zarazem, w którym miałam odpowiedzieć na jej rozliczne pytania o sens życia. Postanowiłam wykorzystać tę klasyczną formę z mojej młodości, aby pokazać szlachetne oblicze Brzoski, co będzie dobrą przesłanką, aby prognozować, co nam ten dobry jaśniepan szykuje.

Co sądzisz o idei work-life balance?

Do roboty chodziło się w czasach komunizmu. I niestety, niektórym tak już zostało. Przychodzą do pracy o 8, wychodzą o 16 i nie odbierają telefonu służbowego albo wyłączają od razu za progiem. Po 16 całkiem wypisują się z życia firmy – i to właśnie jest przychodzenie do roboty. Natomiast człowiek, do którego mogę zadzwonić z pytaniem o 21 albo wysłać maila, a on odpisuje po pół godziny – to dla mnie wartościowy pracownik nowoczesnej organizacji (naTemat.pl, 22 października 2014 r.).

Co sądzisz o progresji podatkowej?

Jak ktoś zarabia sto tysięcy miesięcznie, to nawet jeśli zapłaci tylko dziesięć procent podatku, i tak odda państwu więcej niż ktoś, kto zarabia tysiąc złotych. Podnoszenie stawek lepiej zarabiającym to bardzo krótkowzroczne myślenie, bo to jest demotywujące, a najzdolniejsi mogą łatwo znaleźć pracę lub zakładać firmy za granicą (Gazeta.pl, 3 marca 2019).

Co sądzisz o sprawiedliwości?

W moim przekonaniu jedynie podatek liniowy jest podatkiem sprawiedliwym

(Gazeta.pl, 3 marca 2019).

Dlaczego InPost nie zatrudnia ani jednego kuriera?

W naszym procesie logistycznym nie ma stanowiska kurier. (…) Już mieliśmy system, gdzie sto procent osób było zatrudnionych na umowy o pracę, nazywał się socjalizm. I w ogóle jaka jest teza, proszę mi wyjaśnić? Naprawdę, zaczynam już się nieco nudzić (Gazeta.pl, 3 marca 2019).

Czego potrzebuje Polska i świat?

Nastroje przedsiębiorców są coraz gorsze. Warto podkreślić, że w Polsce mamy ich kilka milionów, a ignorowanie tej grupy społecznej przez ostatnie lata było niemądre, by wręcz nie powiedzieć głupie. Obecna sytuacja w USA pokazuje nam, do czego prowadzi przedłożenie kulturowych wojen ponad rozwój biznesu. Donald Trump otrzymał tak mocny mandat, jakiego od lat nie zdobył nikt. Amerykanie swoim wyborem pokazali, że mają dość walki ideologicznej, a interesuje ich przede wszystkim gospodarka i ich własna sytuacja ekonomiczna. Widzą, że ich „American Dream" się kończy i postanowili go odzyskać (Wyborcza.biz, 4 lutego 2025 r.).

Co sądzisz o naszym miejscu w Europie?

Tak, Europie brak jest tego, co określamy jako leadership. (…) I tu jest wielka rola Polski, bo to Polska zachwyciła przez ostatnie 35 lat Europę. Potrafiliśmy rzeczywiście z niczego zbudować coś wyjątkowego. Ale powinniśmy pójść krok dalej i narzucić narrację całej Unii – jak powinna się zmienić, jak nie być sanatorium i skansenem dla reszty świata (Forbes.pl, 5 grudnia 2024 r.)

Co myślisz o przyszłości?

Złoty wiek dopiero przed nami (Forbes.pl, 5 grudnia 2024 r.).

Cóż, przed Brzoską i szpecącymi ulice miast, miasteczek i wsi paczkomatami na pewno jest złoty wiek.

KAT

Zaślubiny Tuska z biznesem

Ale mowę ciała panna młoda miała raczej niepewną…

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Bogaćcie się – powiedział premier Donald Tusk do sali pełnej milionerów, a nawet miliarderów. Im bardziej się wzbogacicie, tym lepiej dla Polski – dodał.

Te słowa to efekt wiary w teorię skapywania, według której nam, maluczkim, będzie coś skapywać z pańskiego stołu. Tylko że nie skapuje. Dla większości Polaków wzrost gospodarczy nie ma znaczenia, bo nie sprawia, że ich los się poprawia. Uboższa połowa społeczeństwa uzyskuje dochód odpowiadający 15 proc. PKB.

Między tym, co mówił Tusk, padając w objęcia biznesu – urzędowym optymizmem wskazującym, że jest dobrze, a będzie jeszcze lepiej – a jego mową ciała była jakaś dramatyczna sprzeczność. Premier wyglądał i zachowywał się jak wystraszony uczniak przed surową komisją egzaminacyjną.

Większość Polaków – jak wynika z badań opinii – źle ocenia rząd. Ale po wystąpieniu w gmachu giełdy być może polubią go milionerzy. A zwłaszcza pan Rafał Brzoska, któremu Tusk powierzył publicznie zadanie skonstruowania programu deregulacji, żeby ulżyć – jak się wyraził – portfelom przedsiębiorców. Ma być mniej kontroli, a więc łatwiej będzie kantować fiskusa, tj. Polskę, na podatkach.

Będzie dużo inwestycji, są wielkie plany, ale przez delikatność premier nie wspomniał o ochronie zdrowia, gdzie jest już luka 20 mld zł. Premier się tym jednak nie przejmuje, bo podobno pniemy się w statystykach szczęśliwości. To, że 25 proc. ludności ma zaburzenia psychiczne, a na wizytę u psychiatry czeka się miesiącami, a nawet latami, umknęło uwadze Donalda Tuska, który sam najwyraźniej ma pewne problemy, bo nie tylko nie ogarnia rzeczywistości, ale podczas swego wykładu trochę się trząsł. I z pamięcią u premiera też nietęgo: wyraźnie zapomniał, że mieszkanie jest prawem, nie towarem – jak głosił podczas kampanii wyborczej – bo na budownictwo społeczne rząd nie przeznaczył prawie żadnych pieniędzy. Musiało to ucieszyć obecnych na sali deweloperów.

Trudno się jednak było oprzeć wrażeniu, że Tusk trochę się wstydził swego aktu miłosnego z bogaczami. Wspomniał nawet, że kiedy poprzednio był premierem, stronił od takich kontaktów, gdyż biznes był jakby skorumpowany. Teraz najwyraźniej już nie jest.

Deregulacja odbije się negatywnie na dochodach budżetu i ludziach pracy. Wystarczy chwilę posłuchać, co ma do powiedzenia superbogacz Brzoska, aby się zorientować, że program jest prosty: mniej podatków i więcej pańszczyzny. Prawa pracownicze mają być praktycznie zniesione, a podatki tzw. pracodawców obniżone. Premier chce rozmawiać z biznesem, żeby krzywa rosła, ale z 17 mln ludzi pracy najemnej to już nie. Bo dla liberała Tuska solą ziemi są poganiacze niewolników, a nie ci, którzy cały ten PKB wytwarzają swoją ciężką pracą za grosze, czyli pracownicy.

Jedno jest pewne: wzrośnie wyzysk, a zatem zyski biznesu kosztem pracowników. I powstanie cud gospodarczy dla nielicznych. Oczywiście jeśli te zapowiedzi się ziszczą i gość, który przy pomocy nieuczciwej konkurencji wykańczał Pocztę Polską, dostanie do ręki całą gospodarkę, to gość ów pójdzie na całość i za aprobatą rządu będzie się bogacił kosztem sektora publicznego.

Dla polityków Platformy i ich biznesowego zaplecza Polska jest tortem do podzielenia. Ten sojusz biznesu z polityką nie będzie jednak polegał na konkursie talentów i pomysłów, tylko – jak zwykle – na dojściach i koncesjach. Tyle że teraz zaplecze, cwani dorobkiewicze wyjdą z cienia i będą nas grabić otwarcie, tak jak już ograbiają nas przy każdej wypłacie.

Dotychczas fakt, że niezamożnym polskim społeczeństwem rządzą bogacze, był dyskretnie skrywany. Ale wystąpienie Tuska pokazało, że wstydu już nie ma. Tak jak w sejmie są raczej wszyscy prócz ludzi pracy, tak i sam rząd stanie się wkrótce przybudówką jakiegoś Business Center Club czy innego klubu dorobionych.

W tym manewrze propagandowym chodzi też o to, żebyśmy uwierzyli, że wystarczy chcieć, aby móc. Że ciężką pracą ludzie się bogacą. Dlatego budowany jest mit Brzoski – człowieka, który sam siebie stworzył i wszedł na szczyt, a teraz może już innych nie tylko pouczać, ale wręcz współrządzić krajem.

To, że prawą ręką Trumpa jest najbogatszy człowiek na świecie, podkreśla fakt, że zamiast demokracji mamy oligarchię; rządy pieniądza, a nie ludzi. I nikt Tuskowi nie zabroni małpować Donalda Trumpa, odcinać się od UE i mianować swojego własnego Elona Muska. Ten „nasz" przynajmniej jeszcze nie hajluje.

Tusk nawet chyba nie rozumie, że oddając część władzy lobbystom, sam staje się w ich rękach marionetką. A przecież on to wszystko robi głównie dla władzy.

Teraz sejm przejdzie test. Będą tacy, którzy ustawią się w kolejce Rafała Brzoski i jemu podobnych, żeby się załapać na ten nowy trend i wzbogacić. A część – mam nadzieję, że duża – pozostanie w jakiejś mierze lobbystami zwykłych obywateli, których z zasady orzyna elita finansowa.

Jeżeli zyski tych na górze wzrosną, poziom życia tych na dole jeszcze spadnie. A ci, którzy biorą sobie za dużo, zawsze będą mogli zwalić na Niemców, Unię, Ukraińców czy tych, którzy kochają inaczej. Drodzy Rodacy, kiedy słuchacie o tym wielkim inwestycyjnym przypływie Donalda Tuska, pamiętajcie, że Wasze łodzie są dziurawe.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 6f92167abc

Piramidy małych ojczyzn

Nikt tak jak samorząd nie potrafi utylizować publicznej kasy

Dekadę temu Unia Europejska wyśmiewała wydawanie jej kasy na aquaparki w każdej gminie. Ówczesnym hitem stała się inwestycja marszałka województwa warmińsko-mazurskiego, który rzucił 70 mln zł na wybudowanie w Lidzbarku Warmińskim kompleksu leczniczo-rekreacyjnego z wykorzystaniem wód geotermalnych. Pominięto badania, w ciemno zakładając, że uda się znaleźć wodę o temperaturze co najmniej 30 stopni. Po zakończeniu prac starosta lidzbarski poinformował, że woda ma 24 stopnie. Trochę jednak przesadził, bo woda miała tylko 21 stopni. Starostwo nie kazało stłuc termometru, tylko inwestycję kontynuowało.

A to, że woda ma 21 stopni, to dobrze, bo taniej jest ją podgrzać niż ostudzić – mówił starosta. To, że podgrzewanie wody rozdeptywało w proch i pył wszystkie założenia biznesowe, jakoś do świadomości inwestora się nie przebiło. Powstała inwestycja na miarę starosty, do której starosta z własnej kieszeni przecież nie dopłacał.

To sobie polatamy

Kiedy już w każdym miasteczku stanął aquapark, samorządowcy zapałali miłością do lotnictwa. Każda miejscowość chciała mieć własne Okęcie.

W Świdniku pod Lublinem pierwszy samolot wylądował na lotnisku 17 grudnia 2012 r. Kosztowało to prawie 500 mln zł.

W ciągu roku od startu osiągniemy próg rentowności, który wyznacza 300 tys. odprawianych co roku pasażerów – zapewniał rzecznik prasowy Portu Lotniczego Lublin. Komisja Europejska, która przeglądała aplikację lotniska, szacowała, iż rocznie przez port przewinie się góra 140 tys. osób. Fachowcom od lotnictwa pasażerskiego wyszło, że próg rentowności należy podnieść do ok. 800–900 tys. pasażerów rocznie. Mylili się wszyscy. W pierwszym roku przewinęło się przez port lotniczy 188 tys. osób. 300 tys. uzyskano dopiero w 2016 r., ale i to nie zapewniało rentowności przedsiębiorstwa. Do lotniska co roku budżet województwa dopłaca dziesiątki milionów złotych.

W 2010 r. wystartował Port Lotniczy Zielona Góra Babimost. Startowały z niego dwa samoloty dziennie. Oba do Warszawy. W drugim roku funkcjonowania zielonogórski port lotniczy obsłużył 12 290 pasażerów. Lotnisko zielonogórskie szans na rentowność nie miało. Ale miejscowi posłowie, którzy latali darmo, i lokalne władze, które fruwały za kasę podatników, byli wniebowzięci.

Dawno temu koszt przerobienia gdyńskiego lotniska wojskowego na cywilne obliczono na ok. 100 mln zł. We wrześniu 2012 r. Polska powiadomiła Brukselę o dokapitalizowaniu przedsięwzięcia kwotą 52 mln euro. Kilkanaście miesięcy później prezydent Gdyni już szykował się do otwarcia portu lotniczego Gdynia Kosakowo, gdy tymczasem w lutym 2014 r. zapadła decyzja Komisji Europejskiej stwierdzającej nielegalność przyznanej lotnisku dotacji. W 2020 r. syndyk masy upadłościowej lotniska wystawił je na sprzedaż z ceną wywoławczą 7,1 mln zł.

Z rządowej strategii powstałej za pierwszych rządów PiS w 2006 r. wynikało, że Mazowsze miało mieć pięć lotnisk. Okęciu i Modlinowi miały towarzyszyć nowe: w Radomiu, Sochaczewie i Mińsku Mazowieckim. Radomscy samorządowcy wzięli to za dobrą monetę i za ok. 100 mln zł lotnisko ruszyło. Ale z powodu braku linii lotniczych chcących do i z Radomia latać, przedsięwzięcie splajtowało. Gdy zaczęło rządzić PiS, lotnisko przejęło państwo, wpakowało setki milionów złotych i Radom ma airport, z którego wciąż jednak poza LOT-em nikt nie chciał latać.

Podobnie miało lotnisko olsztyńskie w Szymanach. Zbudowano je tylko po to, żeby samorząd województwa mógł co roku przelewać na konto portu lotniczego grube miliony złotych.

Prezydent Rzeszowa zamiast basenu czy lotniska wymyślił, że za 12,4 mln zł w 2014 r. wbije w ziemię 89 betonowych słupów i zbuduje 13 fragmentów pierścienia oraz 22 fragmenty pochylni. Do tego 291 szklanych tafli, które razem ważyły 45 ton, aby cała konstrukcja była dziewięciokrotnie cięższa. No i hartowane szkło, prefabrykowany beton, cichobieżne windy oraz azobe bongossi – drewno, które przyjechało do Rzeszowa prosto z Kamerunu. Dzięki tym zabiegom stanęła kładka dla pieszych nad skrzyżowaniem ulicy Grunwaldzkiej z Aleją Piłsudskiego.

Zbiornik propowodziowy

Większość tych inwestycji realizowano z dotacjami z Brukseli. I właśnie dlatego Unia zrobiła szlaban na finansowanie basenów i lotnisk. Polscy samorządowcy musieli zatem poszukać zupełnie nowych sposobów na wydawanie własnych budżetów. I jak to samorządowcy – dali radę.

Osiem lat temu Urząd Miejski w Gołdapi umyślił sobie nie aquapark, ale zakład przyrodoleczniczy. Towarzyszyć mu miała rozbudowana promenada zdrojowa. Inwestycja służyć miała *wyniesieniu miasta i regionu na nowy poziom, uczynieniu regionalnym centrum zdrojowym i podniesieniu atrakcyjności turystycznej*. Na to wszystko przeznaczono 26,5 mln zł. Prace miały zakończyć się cztery lata temu. Ale problemy z finansowaniem i wykonawcami pojawiły się już na początku. Nieprawidłowości były na tyle istotne, że sprawą zajęła się prokuratura. Postępowanie co prawda umorzono, ale gdy miasto zaczęło organizować przetargi na dokończenie prac, chętnych nie było. Wydano ciężkie pieniądze, a na dodatek część z nich pewnie trzeba będzie zwrócić. Mijają kolejne terminy, więc realna staje się możliwość utraty pozyskanych przez gminę funduszy unijnych na dofinansowanie robót.

Za dziesięć razy mniej niż zakład w Gołdapi Kraków umyślił sobie strzelenie zbiornika retencyjnego przy ulicy Folwarcznej. Inwestycja powstała na terenach zalewowych, gdzie na przestrzeni lat dochodziło do lokalnych podtopień. Zbiornik miał odbierać deszczówkę, więc inwestycja była realizowana w ramach Planu Ograniczenia Skutków Powodzi. W lipcu zeszłego roku wszystko było gotowe. We wrześniu trochę w Krakowie popadało. Na tyle, że zbiornik nie wytrzymał i rozpadł się pod naporem wody. Konstrukcja popękała, osunęły się brzegi, wypłynęła woda i podtopiła obszary, które podtapiane miały już nie być.

Nad Lwówkiem Śląskim są fajne skałki, żeby jednak nikt z nich nie spadł, kilka lat temu zamontowano tam koszmarne biało-czerwone barierki z rur. Projekt realizowano wraz z czeską gminą Chrastava, dlatego był współfinansowany z funduszy Unii Europejskiej oraz z budżetu państwa. Postawiono 11 orurowań po 11,5 tys. zł za sztukę. I teraz ryzyko przechylenia się i spadnięcia w dół skarpy jest znacznie większe niż w momencie, w którym barierek nie było. Nowej władzy samorządowej we Lwówku barierki się nie podobają, więc już wyasygnowano pieniądze na ich demontaż. Tyle że rury można usunąć dopiero za kilka miesięcy, bo inaczej miasto musiałoby zwrócić dofinansowanie.

Samorządowcy Poznania i Suwałk zasilili konta prywatnych firm, bo zapragnęły mieć nowe loga swoich miast. Łączny koszt wszystkich wydatków Poznania – bo przecież logo należało jeszcze wypromować – to ponad 410 tys. zł. Przewrócone poznańskie „P" na zielonym tle jakoś się nie przyjęło, więc radni uznali, żeby loga jednak nie zmieniać, więc miasto przestało go używać. O winnych wydania kasy na nic nikt nie wspomniał.

Suwalskie nowe logo, na które wydano 48 tys. zł, wytrzymało jeden dzień. Po takim czasie i powszechnym obciachu w internecie prezydent postanowił z niego zrezygnować i powrócić do poprzedniego.

Elektryczne króliki

Przykład Poznania, dużego wszak miasta, pokazuje, że szastanie samorządową kasą nie dotyczy tylko małych miejscowości. Duzi mogą więcej i nie wahają się z tego korzystać.

To dlatego w Gdańsku za 300 tys. zł zrobiono plac zabaw dla dorosłych. Stanęło na nim kilka ławek, dwa kosze na śmiecie, leżak, hamak, oświetlenie i parę drobiazgów. Nazwano to „Karuzelin", choć żadnej karuzeli tam nie było. Ale dzięki sprzyjającym mediom – mimo że zdaniem części lokalnych polityków koszt budowy obiektu został mocno zawyżony – nikt do prokuratury nie pognał.

Tak jak z aferą, w której przeputano 62 mln zł. Gdański magistrat kupił otóż w Niemczech 18 elektrycznych autobusów po 4 mln zł za sztukę. Ekologiczne auta miały mieć zasięg 400 km, tymczasem rozładowywały się już po przejechaniu 200. Rozwalało to grafiki gdańskiej komunikacji, bo zdychające autobusy trzeba było ściągać z tras i błyskawicznie je zastępować starymi dobrymi autami jeżdżącymi na olej napędowy.

Czy 10 mln zł przepompowanych z budżetu Gdańska do prywatnej firmy to przypadkiem nie afera? Chyba nie, bo o niej cicho. A przecież kasa ta poszła na dofinansowanie przez Gdańsk klubu piłkarskiego Lechia Gdańsk, który gra tak, że żaden kibic nie chce chodzić na mecze. Żeby było zabawniej, po 10 mln zł ma trafiać do Lechii przez parę lat. Na tyle zawarto bowiem umowę pod pretekstem „działań promocyjnych miasta Gdańska poprzez sport zakwalifikowany do najwyższej klasy rozgrywkowej w dyscyplinie piłka nożna mężczyzn".

W Warszawie mieszkają ponad 2 mln ludzi. Żaden z nich nie widział w stolicy dzikiego królika. W przeciwieństwie do organizacji, które nie tylko widziały ich 90, ale na dodatek na ratowanie futrzaków wyciągnęły z warszawskiego ratusza przez kilka lat 250 tys. zł.

Dla budżetu stolicy, to – widać – kwota żadna.

Mniejszymi niż żadne pieniędzmi jest tym bardziej 18 tys. zł, a taką kwotą zasilono fundację organizującą rowerowe wycieczki po mieście. Na rowerach uczestników, rzecz jasna. Poza tym w ramach budżetu obywatelskiego Warszawy wydano 540 700 zł na organizację spływów kajakowych.

Wszyscy – i słusznie – czepiali się PiS za finansowanie kampanii wyborczej z kasy publicznej. Do Trzaskowskiego, za puszczane we wrześniu spoty reklamujące jego i stolicę, nie przywalił się nikt. A przecież słychać było przyszłego kandydata na prezydenta Polski jako narratora. Na koniec reklamy Trzaskowski z twarzą pojawił się, zachęcając do odwiedzenia miasta. Puszczanie spota kosztowało stolicę 2 650 000 zł. Do tego trzeba doliczyć 159 900 zł wydane przez samorząd Warszawy na przygotowanie tego materiału. Przyczepić się nie ma czego, bo przecież studio realizujące spot *zostało wyłonione w drodze zapytania ofertowego*. W związku z czym – według obowiązującej od lat narracji – o samorządzie lokalnym wciąż można mówić tylko w superlatywach. Bo to jest to, co po roku 1989 udało się Polsce najbardziej.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Sąd Okręgowy w Lublinie uchylił wyrok skazujący proboszcza parafii w Snopkowie (woj. lubelskie) księdza Mirosława Matusznego, który został oskarżony o zniesławienie Katarzyny Kotuli, posłanki Lewicy i ministry do spraw równości. Sprawa dotyczyła grafiki opublikowanej w październiku 2020 r. na profilu klechy w social mediach. Znajdowało się na niej zdjęcie posłanki w maseczce ozdobionej czerwoną błyskawicą, zestawione z ilustracją przedstawiającą hitlerowską młodzieżówkę, na której również widniała błyskawica. Całość opatrzono hasłem „Faszyzm, wczoraj i dziś". Kotula w reakcji na publikację wniosła prywatny akt oskarżenia przeciwko księdzu. W 2024 r. ks. Matuszny został uznany za winnego zniesławienia posłanki i skazany na grzywnę w wysokości 3 tys. zł oraz 1 tys. zł nawiązki na rzecz Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Katabas wniósł wówczas apelację. Sąd Okręgowy w Lublinie zdecydował o umorzeniu postępowania. Sędzia kalosz...

✚ Ksiądz Andrzej S., proboszcz parafii w Łubowicach (woj. śląskie), postanowił po godzinach spędzonych na modlitwie szukać szczęścia na portalu randkowym. Na swoim profilu Andrzej S. informował, że jest biseksualny, lubi grę wstępną i realne spotkania, najlepiej u kogoś, bo nie ma lokum. Księżulo uściślił, że lubi *miłość klasyczną, francuską i spotkanie niekoniecznie we dwoje*. Opis został uzupełniony fotografiami. Choć jurny duchowny nie pokazywał na nich twarzy, został rozpoznany przez parafian po tatuażu i zegarku. Po nagłośnieniu sprawy S. przyznał się do winy, opuścił parafię i oddał w ręce biskupa. Obecnie przebywa w jednym z domów diecezjalnych, gdzie zamiast miłosnych zapasów uprawia pokutę.

✚ W śledztwie w sprawie podejmowania pośrednictwa w załatwianiu dostaw pojazdów mechanicznych z przeznaczeniem dla WOT w zamian za korzyść majątkową albo jej obietnicę zatrzymano (na wniosek CBA) 5 lutego dwie osoby, w tym księdza Sławomira Żarskiego, wysokiego rangą wojskowego w stanie spoczynku. Żarski znany jest m.in. z tego, że w 2002 r. jako proboszcz wrocławskiej parafii św. Elżbiety sprzedał za bezcen Mateuszowi i Iwonie Morawieckim 15-hektarową działkę. W 2022 r. ks. Żarski został nieprawomocnie uznany za byłego współpracownika SB o pseud. Pątnik. Dla bezpieki miał pracować w latach 1985–1990 i zajmować się rozpracowywaniem duchownych.

✚ W Sądzie Okręgowym w Rzeszowie rozpoczął się proces księdza Dominika R., byłego wikariusza parafii w Święcanach w powiecie jasielskim. Klecha jest oskarżony m.in. o molestowanie seksualne, naruszenie nietykalności cielesnej i posiadanie treści pornograficznych – zdjęć i filmów – z udziałem małoletniego. Pokrzywdzonych jest pięciu chłopców. Dwóch z nich w momencie popełnienia przez księdza przestępstwa nie miało ukończonych 15 lat. Do molestowania miało dochodzić m.in. podczas wyjazdów do parków wodnych, które ksiądz organizował dla niepełnoletnich ministrantów. Za najpoważniejszy z zarzucanych czynów byłemu wikaremu grozi kara trzech lat pierdla. Życzymy maksymalnego wyroku kary.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 6f92167abc

GADMAN

Bo to, co ich podnieca, to się nazywa kasa

„Godzilla” kontra zamach stanu

Znajomi Bogdana „Godzilli” Święczkowskiego dziwili się, że po zajęciu fotela prezesa Trybunału Konstytucyjnego aż tak długo zasiadał tam spokojnie. Święczkowski zawsze wybijał się z tłumu. Zwykle dzięki swej gigantycznej posturze. Stąd ksywka „Godzilla” nawiązująca do potwora z popularnego kiedyś japońskiego filmu grozy.

Warunki fizyczne sprawiły, że w młodości uprawiał lekkoatletykę w wydaniu ciężkim: pchnięcie kulą. Trenował też judo, nadal uprawia strzelectwo, o czym nie zapomniał przypomnieć w mediach. Aby wiedzieli o tym wszyscy. Zwłaszcza ci policjanci, którzy przyjdą po niego, by się wiedzieć, że jakiś arsenał w domu ma.

Prokurator 3D

Kiedy został szefem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, szybko nakazał zatrzymanie Barbary Blidy, byłej minister budownictwa. Znanej i szanowanej na Śląsku posłanki SLD. Pomówionej o korupcję. Oczyszczonej potem z zarzutów.

Akcja miała być pokazem skuteczności przejętych przez PiS służb specjalnych. Dlatego zamierzano upowszechnić ją w mediach. Zakończyła się tragicznie, śmiercią zatrzymywanej posłanki. Do dziś w pełni nie wyjaśniono wszystkich jej okoliczności. Wedle wersji służb posłanka Blida miała popełnić samobójstwo. Ku zaskoczeniu łagodnie traktujących ją służb. Jednak media sugerowały inny przebieg koronkowej akcji agentów Święczkowskiego. W trakcie zatrzymania mogło dojść do szarpaniny posłanki z agentami. I wtedy padły te strzały.

Niezależnie od przyjętej wersji, pomimo tak rażących błędów popełnionych przez służby, uczestniczący w akcji agenci oraz ich szef Święczkowski nie ponieśli żadnych konsekwencji.

Za czasów drugich rządów PiS prokurator Święczkowski kierował Prokuraturą Krajową. Z nadania swego politycznego kolegi Zbigniewa Ziobry. Wtedy plotkowano o nim, że w swej pracy stosuje trzy zasady. Wszystkie na „d”. Degradacje, bo często bez merytorycznego uzasadnienia kierował doświadczonych prokuratorów do prokuratur najniższego szczebla. Delegacje, bo przenosił nielubianych prokuratorów do pracy w prokuraturach odległych od ich rodzinnych domów. I jeszcze dyscyplinarki, bo potrafił dotkliwie karać prokuratorów nienależących do jego ferajny.

Wiadomość, że w III Rzeczpospolitej dokonano zamachu stanu, ogłoszona przez prezesa Trybunału Konstytucyjnego, zaskoczyła wszystkich, nawet prominentów PiS. Co sugeruje, że akcja „Godzilli” nie była częścią wielkiego politycznego planu walki z koalicją rządową realizowanego przez strategów PiS. Przeciwnie, to efekt jego – znanego na prawicy – dzikiego charakteru.

Początkowo istnienie zamachu stanu zgodnie potwierdzali prominenci PiS. Nawet prezes Jarosław Kaczyński. Przez jeden dzień o zamachu stanu trąbiła Telewizja Republika. Po kilku dniach do bunkra prezesa Kaczyńskiego na ul. Nowogrodzką zapewne dotarły meldunki od parlamentarzystów i aktywistów Zjednoczonej Prawicy. Informujące, że nawet pisowski ciemny lud nie uwierzył w ten zamach. A delegowani do mediów parlamentarzyści Zjednoczonej Prawicy stali się obiektami powszechnych kpin pozostałych parlamentarzystów i mediów. Nawet tych przychylnych prawicy.

Wtedy sztabowcy PiS ukuli tezę o pełzającym zamachu stanu. Tak przebiegle, że jeszcze niewidocznym. Ale ciągle groźnym. I tej wersji prominenci PiS jęli się trzymać.

Kasa, misiu

Ale nie chcą jej komentować, bo znów okazało się, że wszystko jest jedynie w mediach pisane. Zamiast ofensywy antyzamachowej mamy tylko zapowiedź skierowania wniosku prezesa Trybunału Konstytucyjnego do zastępcy prokuratora generalnego Michała Ostrowskiego. Mianowanego jeszcze przez Zbigniewa Ziobrę. Ten obiecuje w mediach śledztwo i przesłuchania świadków. Choć takie śledztwo nie leży w jego kompetencjach. Ale tego wyborcy Zjednoczonej Prawicy nie muszą wiedzieć.

Rzadko kto też w Polsce wie, że prezes „Godzilla” mógł odstąpić od wykrycia zamachu stanu. Gdyby tylko premier Tusk zaspokoił jego kompromisowe propozycje.

Pod koniec zeszłego roku prezes Święczkowski w wywiadzie dla tygodnika „Do Rzeczy” zaprezentował się jak gołąbek pokoju. Ujawnił, że właśnie zwrócił się do obecnych władz z inicjatywą podjęcia próby osiągnięcia kompromisu. *Jeśli ta inicjatywa nie przyniesie rezultatu, to będę podejmował inne dopuszczalne prawem działania, żeby te sytuacje zmienić* (…). *Zakładam, że będzie to cykl działań* – mówił. Przyciskany przez gwiazdę prawicowego dziennikarstwa, redaktora Cezarego Gmyza, prezes Trybunału Konstytucyjnego uchylił rąbka tajemnicy już zaplanowanej akcji: *Szachista nie ujawnia zaplanowanych ruchów. Proszę pamiętać, że wynagrodzenia sędziów Trybunału Konstytucyjnego unormowane są w konstytucji, a ich wysokość wskazuje ustawa. Oczywiście ustawodawca może dokonać różnego rodzaju zmian, zmieniając ustawę.* (…) *Trybunał Konstytucyjny z tymi pieniędzmi lub bez tych pieniędzy będzie funkcjonował.* (…) *Nie przestaniemy działać* – zadeklarował.

Wielu prawników, komentatorów, polityków deklarowało w mediach, że nie wiedzą, o co chodzi Święczkowskiemu z tym zamachem stanu. Znów okazało się, że jeśli nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze. O wysokość wynagrodzeń sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Zapewne niezłomny i pryncypialny prezes „Godzilla”, słysząc o propozycjach obcięcia wynagrodzeń sędziom, czyli jemu też, zaproponował koalicji rządzącej pojednawczy kompromis: kasa za polityczny spokój. Czyli większa kasa za mniej roboty. Zaiste wspaniały to kompromis!

Rys. MARCIN CHUDZIK

Skoro jednak prezes trybunału nie doczekał się oczekiwanej kasy, to ruszył do boju i odkrył zamach stanu. Pokazując tym hierarchię wartości w Zjednoczonej Prawicy.

Gdzież ten Jeleń?

Wiecie już, że poseł Marcin Romanowski, też ziobrysta, zbiegł na przyjazne mu Węgry. Niestety co miesiąc traci wypłacane za udział w posiedzeniach diety poselskie, zablokowano mu też ryczałt na prowadzenie biur poselskich. Jest posłem na uchodźstwie. Je w Budapeszcie gorzki emigrancki chleb.

Jego szef, poseł Zbigniew Ziobro, nie uczestniczył w ostatnim posiedzeniu Sejmu RP. Bo też zbiegł z Polski. Ale do wrażej, lewackiej Brukseli. Jeśli zostanie tam dłużej, to też straci poselskie diety. A Kancelaria Sejmu RP może obciąć mu ryczałt na prowadzenie biur poselskich.

Ziobro prysnął z kraju, bo grozi mu odebranie poselskiego immunitetu. A potem areszt lub policyjne doprowadzenie na posiedzenie sejmowej komisji śledczej, której poseł Ziobro nie uznaje za legalną.

Plotkarskie media podają, że były pisowski minister sprawiedliwości i prokurator generalny osiedlił się w Brukseli z rodziną. Wykorzystał fakt, że jego żona Patrycja Kotecka-Ziobro zatrudniona jest w Parlamencie Europejskim. Jako asystentka trzech europosłów Zjednoczonej Prawicy: Patryka Jakiego, Jacka Ozdoby i Daniela Obajtka. Dostaje zatem trzy pensje. Płacą jej w euro. Walucie zwalczanej w mediach przez Zjednoczoną Prawicę, ale chętnie przez prawicowców przyjmowanej w życiu realnym. Ziobrowie zamieszkali w dzielnicy Ixelles. Synowie Ziobry chodzą już w Brukseli do szkoły. Nie stracą 800+.

Zauważcie, że polscy prawicowcy namiętnie krytykują lewacką, gejowską zachodnią Europę, ale swe dzieci wysyłają tam. Do lewackich szkół i na genderowe wyższe uczelnie. Zamiast do prawych szkół dyrektora Rydzyka.

Krajowe media sugerują, że na emigracji w Brukseli będzie Ziobro montował sojusz przeciwko Mateuszowi Morawieckiemu. Aby utrącić jego starania o schedę po prezesie Kaczyńskim.

Rośnie też w siłę Platforma Obywatelska. Media poinformowały, że szeregi tej rządzącej partii zasilił legendarny działacz opozycji z czasów Polski Ludowej, charyzmatyczny były wicemarszałek Sejmu RP Stefan Niesiołowski. Ksywka „Jurny Stefek”.

Podczas spotkania z wyborcami w Augustowie Karol Nawrocki, kandydat PiS na prezydenta, obiecał obniżkę cen energii elektrycznej o 33 proc. w ciągu 100 dni od objęcia przez siebie urzędu. Kandydat KO Rafał Trzaskowski w zeszłym tygodniu obiecał jedynie ekstradycję kilkuset przestępczych Gruzinów. Nie wiadomo też, czy Gruzja przyjmie ich z powrotem. Jeśli nie, to czy rząd nałoży cła na wina gruzińskie?

Nic dziwnego, że na pytanie sondażowni SW Research dla rp.pl: *czy na polskiej scenie politycznej jest miejsce na nową partię?*, pozytywnie odpowiedziało 58,2 proc. badanych.

W czasach mojej młodości opowiadano radziecki kawał o moskiewskim profesorze egzaminującym z radzieckiego marksizmu-leninizmu kandydatów na studentów. Egzamin przebiegał gładko, aż weszła jasnowłosa dziewczyna. Pytana o Marksa, Engelsa, Łunaczarskiego, Bucharina, Lenina konsekwentnie odpowiadała, że nigdy o takich nie słyszała.

A gdzie pani mieszka? – zapytał zdumiony profesor. *W małej syberyjskiej wiosce Jeleń* – usłyszał.

Kiedy wyszła, profesor westchnął trzy razy i rzekł do siebie: *Ah rzucić to wszystko i wyjechać do Jelenia!*

Kiedy obserwuję polskie medialne życie polityczne, zaczynam marzyć o tym samym.

PIOTR GADZINOWSKI

Walentynka dla Rzeczypospolitej

Ostatnio bywam częstym gościem strony internetowej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. A dokładniej zakładki „Zrzeczenie się obywatelstwa polskiego”. To trochę jak wkładanie do pyska lufy uzbrojonego pistoletu, obracanie i smakowanie smaru. W jedne dni, bo w inne – chrupanie pistacji.

Czytam oto, że obywatel polski nie może utracić obywatelstwa polskiego, chyba że sam się go zrzeknie. To art. 34 ust. 2 Konstytucji RP. Jeśli nie chcę już być obywatelką RP, to jestem zobowiązana ustawowo, aby napisać do prezydenta RP i poprosić go o zgodę na zrzeczenie się obywatelstwa. O zgodę? Dudę? Duża żaba do przełknięcia. A taki chuj! W końcu niedługo wybory, a tym razem kolejna kadencja Andrzeja nam nie grozi.

W każdym razie wzór zrzeczenia się mam już ściągnięty na komputer. Uczciwość nie pozwala mi inaczej. Jak przestaję być obywatelką RP, to staję się bezpaństwowcem. Jeszcze większym wrzodem na dupie dla państwa polskiego niż jestem teraz. Bo teraz jestem jeno obdarzonym jęzorem pryszczem na zadku Najjaśniejszej. Skoro staję się bezpaństwowcem, to należy mnie deportować. Do obozu dla uchodźców. Mamy ich w Polsce dostatek. Sytuacja robi się o tyle zabawna, że uchodźcy tkwią w obozach, bo albo są niejako w tranzycie i w Polsce utknęli, albo starają się o obywatelstwo polskie. Jak wiadomo, ja nie będę się starać. A w tranzycie to jestem do jednego miejsca, jak każdy z nas… Bardzo terytorialnie nieokreślonego.

A gdyby tak Szolca do Ugandy? A gdyby tak Szolca na Madagaskar? A gdyby tak…?

Widzicie, Drodzy Państwo, ja jestem dziewczyną bardzo akuratną, przejmuję się tym i owym.

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Konstytucję czytuję i tam w art. 82 stoi jak byk: *Obowiązkiem obywatela polskiego jest wierność Rzeczypospolitej Polskiej oraz troska o dobro wspólne*. Właśnie o to biega:

wymawiam! Mam w dupie troskę o dobro wspólne, a na obowiązek wierności paskudzę! Nie żebym byłam kandydatką na Matę Hari, ale materiałem na obijaną żonę też nie jestem.

Wierną, obijaną żonę.

I tak jestem bardzo spoko, bo Polska ignoruje moje prawa konstytucyjne, i to z całą mocą, a ja tymczasem konstytucję tulę do piersi. Ponieważ nie zamierzam jej ignorować, a przestrzegać już nie potrafię, to zostanę bezpaństwowcem. I znajdźcie mi inną taka uczciwą kobietę i nieoobywatelkę!

Przy okazji dodam, że po głębokich przemyśleniach i ku zgrozie mojej Mamy, która jeszcze

eprasa.pl 6f92167abc

Wyrobnicy systemu

Ratownik wzywa pomocy

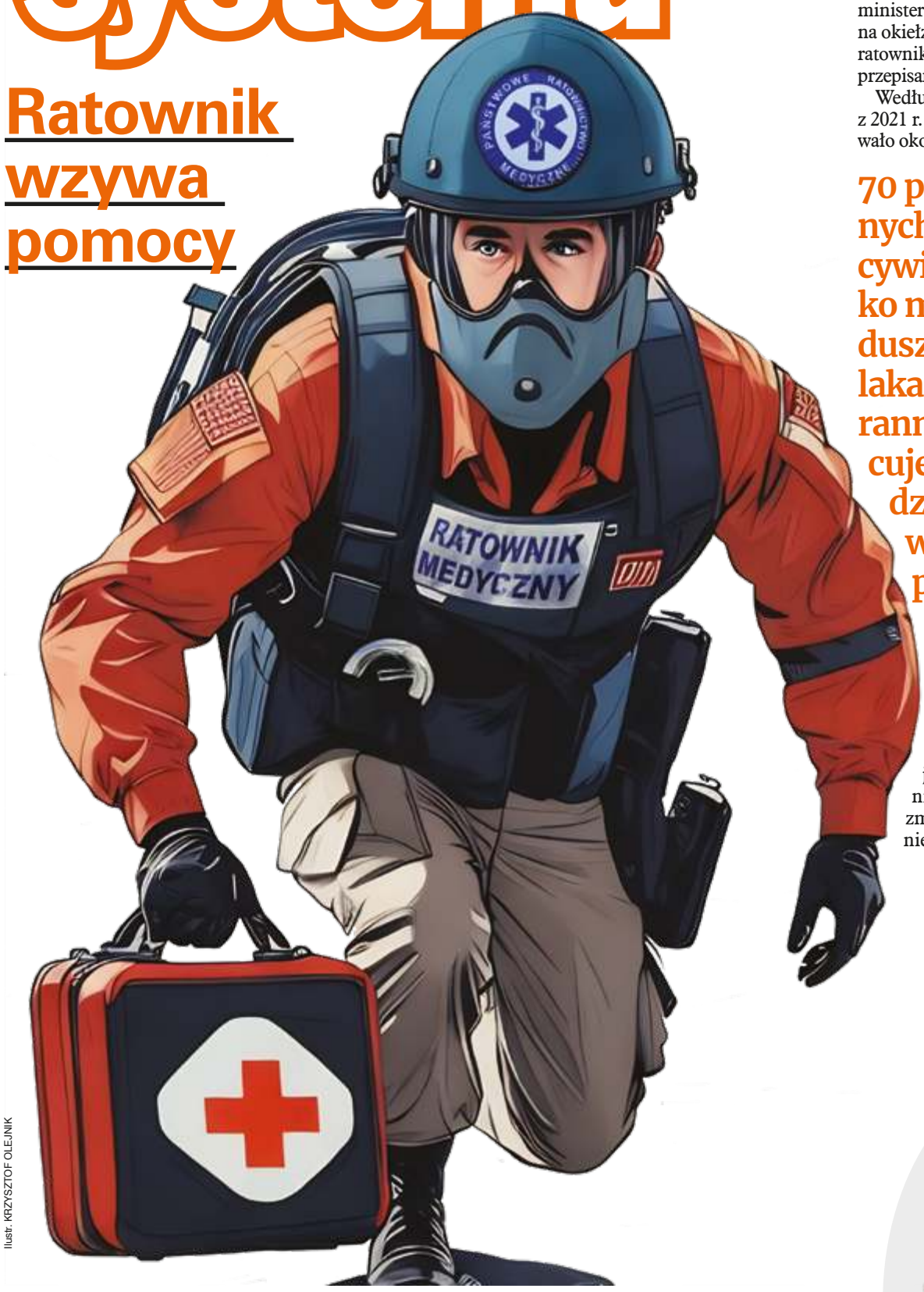

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Za sprawą zabójstwa ratownika medycznego w Siedlcach najbardziej dymana grupa pracowników ochrony zdrowia znowu znalazła się na pierwszych stronach gazet i portali informacyjnych. Korzystając z koniunktury zbiorowego oburzenia i nośności tematu, w głębokim smutku i wspólnym stanowisku wysmarkały się Ministerstwa Zdrowia oraz Spraw Wewnętrznych i Administracji: *deklarujemy*, *zintensyfikujemy*, *wdrożymy*. Gówno z tego będzie.

Wina

Do ataku na ratowników doszło 25 stycznia na jednym z siedleckich osiedli. 59-letni obywatel wezwał pogotowie ratunkowe, twierdził, że ma problemy z oddychaniem. Według osób postronnych mężczyzna miał również ranę ciętą głowy. Najwyraźniej wentylacja chorego poprawiła się na widok przybyłych na miejsce ratowników, gdyż przywitał ich, wymachując dwoma nożami. Wskutek psychomotorycznego pobudzenia 59-latka jeden z ratowników został ranny w rękę, a drugi zarobił kosę w klatkę piersiową – jego życia nie udało się uratować i 62-letni medyk zmarł w szpitalu. Jak ustaliła policja, nożownik w chwili zatrzymania był znieczulony 2,5 promilami alkoholu. *Z wielkim bólem przyjęłam wiadomość o śmierci naszego Kolegi-Ratownika Medycznego, zaatakowanego przez pacjenta, któremu udzielał pomocy medycznej*. (…) *Ta zbrodnia musi być dla nas dzwonkiem alarmowym i zapoczątkować konieczne zmiany legislacyjne, zapewniające bezpieczeństwo ratownikom* – natychmiast napisała na portalu X minister zdrowia Izabela Leszczyna. Na rządowym portalu lotem błyskawicy pojawiło się wspólne oświadczenie ministra zdrowia oraz ministra spraw wewnętrznych i administracji. W tonie żałobnej czołobitności obydwa resorty zadeklarowały *podjęcie stanowczych działań w celu zwiększenia ochrony służb medycznych oraz zapewnienia skuteczności ścigania przestępstw przeciwko ratownikom* i wysmarowały plan działania: zintensyfikowanie współpracy z organami ścigania w celu szybkiego i skutecznego pociągania sprawców do odpowiedzialności za przemoc wobec medyków, wdrożenie szkoleń dla personelu medycznego w zakresie bezpieczeństwa i procedur postępowania w sytuacjach zagrożenia; wreszcie działania edukacyjne i kampanie społeczne promujące szacunek dla pracowników medycznych i zrozumienia dla podejmowanych przez nich interwencji.

Biorąc pod uwagę wielomiesięczną wendetę resortu zdrowia przeciw szpitalnym pracownikom ochrony zdrowia – której spirala nakręcała się wprost proporcjonalnie do nieudolności ministerialnego zarządzania finansami w ramach NFZ – troska Leszczyny brzmi tyle kuriozalnie, co bezczelnie. A to dopiero początek kabaretu.

(Nie)żal za grzechy

Dzwonek, o którym wspomina Leszczyna, dzwoni od dawna. Żeby jednak daleko nie sięgać, na początku grudnia 2024 r. w centrum Warszawy pokonany przez dwa promile alkoholu w organizmie i grawitację pułkownik Służby Ochrony Państwa zaatakował i pobił zespół ratownictwa medycznego. Z racji pełnionej przez agresora funkcji sprawa nie tylko zyskała rozgłos, ale zaowocowała interpelacją poselską Janusza Cieszyńskiego z PiS do ministra zdrowia w sprawie bezpieczeństwa ratowników medycznych. Nietrudno się domyślić, że motorem do działania była chęć wsadzenia kija w oko ekipie rządzącej – choć, by oddać sprawiedliwość, warto nadmienić, że za panowania kaczystów status ratowników medycznych pod względem ochrony prawnokarnej zrównano z funkcjonariuszami publicznymi. Zapis ten w ramach odpowiedzi na interpelację przywołał wiceminister zdrowia Marek Kos. Zaznaczył również, że od grudnia 2019 r. na tabletach wykorzystywanych przez ZRM w Systemie Wspomagania Dowodzenia Państwowego Ratownictwa Medycznego wprowadzono przycisk „POMOC”, który w przypadku bezpośredniego zagrożenia pozwala kierownikowi zespołu z poziomu aplikacji powiadomić dyspozytora medycznego o potrzebie wezwania posiłków. Pytanie Cieszyńskiego o możliwość wprowadzenia obowiązku stosowania przez ZRM w ramach przymusu bezpośredniego np. kajdanek wobec agresywnych pacjentów Kos uzbrojony w szereg ustaw spuścił po brzytwie.

Mimo piętrzącej się fali napaści i agresji wobec ratowników medycznych, wśród zapewnień o współpracy resortu z Komendą Główną Policji i podkreślenia konieczności włączenia w 2023 r. kursu samoobrony do kształcenia podyplomowego tej grupy zawodowej, Ministerstwo Zdrowia odfajkowało temat.

Wyświechtane hasło „czy musiało dojść do tragedii?” znów nabrało rumieńców.

Zgodnie z Kodeksem karnym za naruszenie nietykalności cielesnej funkcjonariusza publicznego grozi grzywna, ograniczenie wolności lub pozbawienie wolności do lat trzech. Jeśli do napadu doszło z użyciem broni palnej, noża lub innego niebezpiecznego przedmiotu, agresor może spędzić za kratami do 10 lat; jeśli w wyniku napaści funkcjonariusz publiczny doznał ciężkiego uszczerbku na zdrowiu – 15 lat. Tyle w teorii.

Martwe przepisy, martwi ratownicy

W połowie stycznia Mateusz Komza, prezes Krajowej Rady Ratowników Medycznych, zwrócił uwagę w mediach branżowych, że zasądzane przez sądy kary za napaści na tę grupę zawodową są śmiesznie niskie, a wyroki najczęściej kończą się pracami społecznymi. Co więcej, komentarze ratowników po śmierci kolegi nie pozostawiają złudzeń: przepis jest martwy, a zdarzenia często nie są – wbrew zapewnieniom – ścigane z urzędu, wszystko dlatego, że ratownicy w myśl ustawy nie są funkcjonariuszami, tylko korzystają z podobnej ochrony.

Pomijając przyprawiającą o dreszcz obrzydzenia dwulicowość resortu zdrowia – należałoby się zastanowić, czy zamiast wywalać pieniądze na kampanię społeczną mówiącą o tym, że ratownicy medyczni nie są worami treningowymi, nie należałoby ich przekierować w inne miejsce, bo dziur w systemie jest bez liku. Medycy ZRM podkreślają, że dobrą praktyką byłoby przywrócenie trzyosobowych załóg w Zespołach Podstawowych (P) karetek, które wyjeżdżają do mniej skomplikowanych zdarzeń. Obecnie takie ambulanse najczęściej mają na wyposażeniu kierowcę i ratownika – zatem kiedy dochodzi do ataku ze strony pacjenta, zespół jest bezbronny, bo tabletem można co najwyżej przyłożyć agresorowi, żeby jak najszybciej zająć się poszkodowanym kolegą bądź koleżanką.

Ogólnopolski Związek Zawodowy Ratowników Medycznych postuluje o wprowadzenie monitoringu wizyjnego podczas interwencji w postaci kamer nasobnych zespołu ZRM (noszą je policjanci). Widok kamerki potrafi spacyfikować wyrywnych. Problem w tym, że takie rozwiązanie brano już pod uwagę, ale ostatecznie z uwagi na negatywne stanowisko Urzędu Ochrony Danych Osobowych, który podnosił możliwość ujawnienia na nagraniach danych wrażliwych o uczestnikach zdarzenia, z kamer zrezygnowano.

Obecna ustawa zezwala na użycie przez załogę karetki wobec pacjenta dwóch środków bezpośredniego przymusu: przytrzymania oraz unieruchomienia. Nietrudno sobie wyobrazić, na ile skuteczne będą one wobec napranego wódą lub prochami dwumetrowego obywatela wymagającego podania środków uspokajających. Kajdanki, w które może skuć tylko policja, są jakimś rozwiązaniem; pytanie tylko, co zrobić, kiedy czas oczekiwania na patrol wynosi 45 minut, bo – cóż za niespodzianka – policja ma sromotne braki kadrowe.

Remedium

Minister sprawiedliwości Adam Bodnar zadeklarował wsparcie i determinację w realizacji postulatów MZ i MSWiA. Szlachetnie, ale wydaje się, że zamiast pisanych – delikatnie mówiąc – naprędce ministerialnych propozycji najlepszym sposobem na okiełznanie problemu byłaby etatyzacja zawodu ratownika medycznego i objęcie go bodaj w części przepisami o służbach mundurowych.

Według danych Narodowego Funduszu Zdrowia z 2021 r. (to ostatnie dostępne dane) w Polce pracowało około 22,5 tys. ratowników medycznych.

70 proc. jest zatrudnionych na podstawie umów cywilnoprawnych. Krótko mówiąc, jadący do duszącego się niemowlaka czy nakurwionego rannego ratownik pracuje na tej samej zasadzie co tipserka w osiedlowym salonie piękności

robiąca pazury na B2B, czyli samozatrudnieniu zwanym kontraktem. Dla systemu to wygoda – nielimitowana liczba godzin w zestawieniu ze słabymi płacami pozwala utrzymać bajzel w kupie. Póki cierpiący na uwiąd finansowy resort zdrowia będzie traktował ratowników jak kontraktowe zapchajdziury do uzupełniania braków kadrowych po taniości, nie zmieni się nic, choćby ubrano to w najpiękniejsze oświadczenia.

IDALIA DUBICKA

Ilustr. PAWEŁ FERENC

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Na dotyczący gospodarki spicz premiera Donalda Tuska wygłoszony w siedzibie warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych zareagował m.in. poseł Prawa i Sprawiedliwości Janusz Kowalski: *Przemówienie Donalda Tuska na GPW można podsumować krótko: ble, ble, ble. Tusk jest kompletnie nagi. Szkoda Polski*.

Kowalski nie jest ekonomistą, nigdy nie dostał Nagrody Nobla w dziedzinie nauk ekonomicznych, ba – nigdy nie był nawet laureatem Nagrody Gospodarczej polskiego Związku Przedsiębiorców i Pracodawców. Jedynym osiągnięciem gospodarczym Kowalskiego jest zarobienie kilku milionów złotych, ale nie na wolnym rynku, lecz zawsze i tylko w firmach z udziałem skarbu państwa: KGHM Polska Miedź, Poczta Polska, Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo oraz Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych, a jedyną umiejętnością ekonomiczną – sprawne robienie zakupów przez internet.

żyje, ale chyba już niedługo (bycie 80-letnią kryminalistką i ciągłe latanie po komendach jakoś jej nie służy) postanowiłam nie iść na wybory. Kandydatka Magdalena Biejat mi wybaczy. Tak sądzę. Inna sprawa, że najfajniej byłoby pisać to zrzeczenie do niej. Zabrzmiało dwuznacznie, ale nie mam takiej intencji. Po prostu próbuję naprawić to, co bocian popsuł. Wygumkować coś, co mnie rani. Niech RP bawi się świetnie – tyle że beze mnie. Beze mnie – nawet jeśli materialnie, czyli fizycznie, miałabym tkwić w obozie dla uchodźców. Mentalnie i administracyjnie – fruuu, odfruwam. Tak, wiem, że to osobliwa walentynka, bo miłości w niej nie ma. Są za to wyrazy szacunku, które miłości bywają zaprzeczeniem. Szacunku dla idei państwa, które padło mordą na beton i ciągnie… Ogarnijcie się, panowie. Przede wszystkim panowie w tych wszystkich ważnych ministerstwach, bo mogę być pierwsza, a nie jedyna. A jeśli z obozu przejściowego wyjdę, to wszystko opiszę!

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 6f92167abc

Prawda o kobiecej naturze

Wyrachowana suka czy troskliwa matka?

Ach, walentynki! Święto zakochanych, serduszek, amorków i… marketingowców. Prawdziwy festiwal lukru, pluszu i róż w wygórowanych cenach. Oczywiście, miło dostać kwiatka i czekoladki, ale czy to naprawdę dowód miłości? Walentynki to kwintesencja plastikowej kultury amerykańskiej, święto hipokryzji i komercji, ale i pretekst, żeby świętować miłość, lubieżność albo po prostu dobrze się zabawić. Co dziwne, miliony ludzi na całym świecie dobrowolnie poddały się tej miłosnej walentynkowej machinie i kupują co popadnie, by udowodnić swoją miłość. Czyż nie jest to fascynujące zjawisko socjologiczne?

Kabriolety i sygnety

Moja matka, która zawsze idealizuje przeszłość, twierdzi, że pamięta czasy, kiedy o walentynkach w Polsce nikt nie słyszał. Zakochanym wystarczało słodkie nicnierobienie, tęskne westchnienia i wzajemne pożeranie się wzrokiem. Ale ja w te bajki nie wierzę. Już sam fakt, że mnie urodziła, czyli jest moją matką, stawia ją w nienajlepszym świetle. Czyżby kobiety w czasach jej młodości były tak bezinteresowne, jak dziś są interesowne, a mężczyźni tak prostolinijni, że kwestię swojego statusu materialnego w zalotach skrzętnie ukrywali? Bzdura! Do czego, u licha, służyły te kabriolety w kanarkowych kolorach, złote sygnety z Różyckiego, kurtki ramoneski, zakupy w Baltonie i wycieczki do Bułgarii? To był szpan, epatowanie bogactwem, a mówiąc bez sarkazmu – zasobami. Nie uwierzę, że mechanizmy ludzkiego zachowania zmieniły się przez dwa pokolenia w tym względzie, skoro w innych są niezmienne od tysięcy lat.

Ostatnio widziałem sondę, w której młode kobiety stawiano przed dylematami: przystojny czy bogaty? Wysportowany czy bogaty? Wykształcony czy bogaty? Inteligentny czy bogaty? Romantyczny czy bogaty? I wiecie co? Na te jakże różne pytania odpowiedź była zawsze ta sama: bogaty! Wahanie pojawiało się dopiero przy dylemacie: lojalność czy bogactwo?

Oczywiście w świetle nauczania Kościoła taka postawa to szczyt niemoralności, dowód na zepsucie. Bo kto nie pokłada nadziei w Bogu, a w mamonie, ten skazany jest na potępienie.

iPhone'y i ciąża

Ale ja myślę, że te prokomercyjne postawy kobiet mają uzasadnienie moralne, racjonalne, ba, przyrodnicze, genetyczne, czyli z gruntu naturalne.

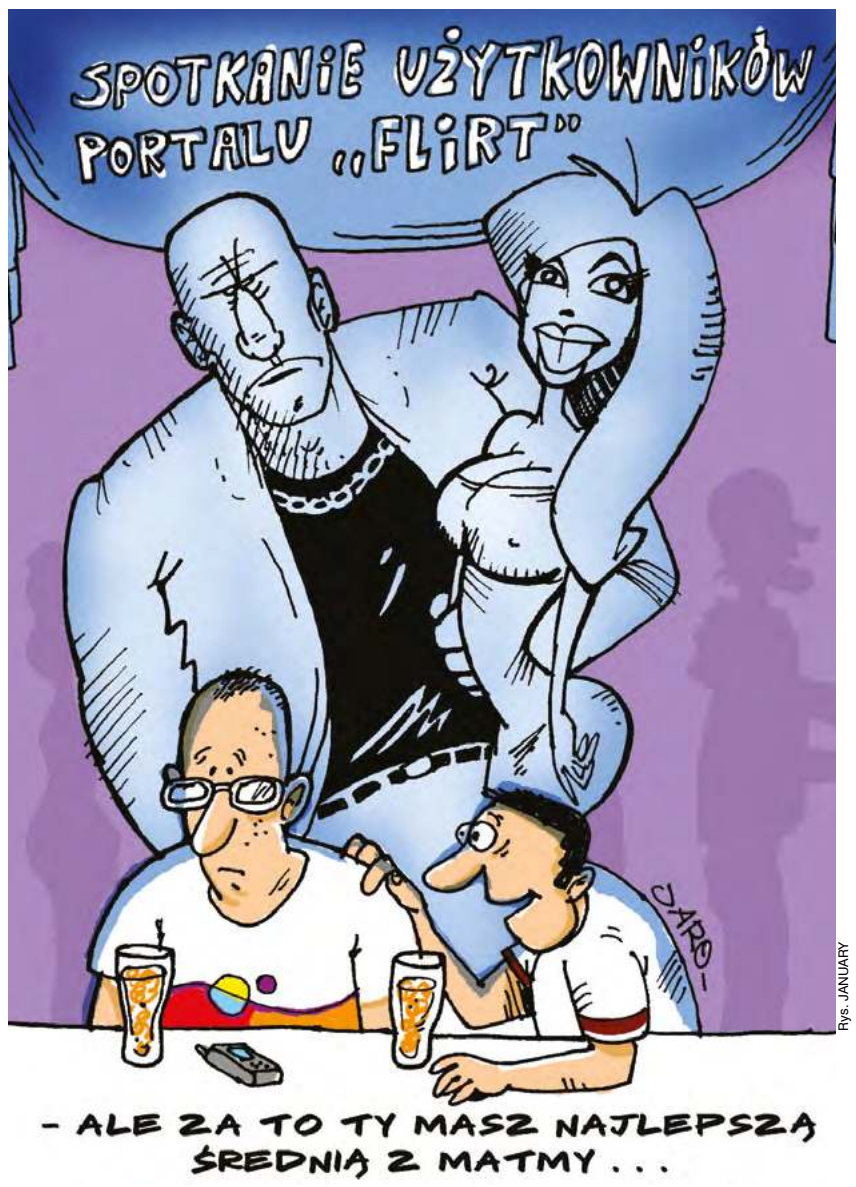

Rys. JANUARY

Każda niewiasta w wieku rozrodczym instynktownie bierze pod uwagę, że może zajść w ciążę. A wtedy jest niemal bezbronna i ekonomicznie mało zaradna. Potem pojawia się ten mały pasożyt, który absorbuje jej czas, uniemożliwiając samodzielne utrzymanie się i pożera witalną energię. Aby to przetrwać, potrzebne są zasoby, i to w ciągłej dyspozycji. Traci na znaczeniu to, czy mąż jest wysokim, wysportowanym blondynem tryskającym dowcipem, czy otyłym, łysiejącym księgowym, nudnym jak kazanie o czystości przedmałżeńskiej. Jeżeli kobieta ma wybór między bankomatem a fontanną tryskającą czekoladą i nie tylko, wybór jest oczywisty.

Okres zakochania to preludium do trudnego okresu ciąży, porodu, połogu i macierzyństwa. Trzeba więc kombinować.

Te walentynkowe prezenty: torebki Chanel, buty Louboutin, biżuteria Cartier, sukienki Diora i iPhone'y najnowszej generacji – to nic innego jak okazywanie zamożności w zalotach. Dowód hojności, gwarancja stabilności finansowej, a nawet wyraz troski o przyszłość potencjalnej partnerki i potomstwa.

Kobieta chce żyć w dostatku i bez zmartwień. A że to wygląda jak kupowanie uczuć?

Kontrakty małżeńskie to nie żaden nowoczesny wynalazek. Posag, wiano – to stare jak świat sposoby zabezpieczania finansowej przyszłości kobiety. W dawnej Rzeczypospolitej, gdzie mężczyźni rzadko dożywali sędziwego wieku, wiano było gwarancją przetrwania dla wdów. Więc nie ma co się oburzać na współczesne materialistki. One tylko kontynuują tradycję przodkiń.

Sześć żon i kupa złota

A co powiecie na małżeństwa dynastyczne? Przypomnę tylko jedno, za którym kryje się wielka finansowa tajemnica. Posag Katarzyny Aragońskiej, hiszpańskiej królewny, pierwszej żony Henryka VIII, wynosił 200 000 złotych dukatów. Rachunek jest prosty: jeden dukat to 3,5 grama złota. 200 000 dukatów to 700 kg złota. Cena złota dziś to ok. 90 dolarów za gram. 700 kg złota to 63 mln dolarów. W złotówkach to ponad 255 mln! Tyle kosztował Katarzynę awans z królewny kastylijskiej na królową Anglii. Sam Henryk, żeniąc się z nią, popełnił mezalians. Niestety, Katarzyna okazała się nieznośna. Henryk, ryzykując ekskomunikę, wziął rozwód. To miało kolosalne konsekwencje – narodził się anglikanizm, a Henryk został królem i papieżem w jednym, a przy okazji wzbogacił się o 700 kg złota. A to nie koniec – cwaniak żenił się potem jeszcze pięć razy i za każdym razem powiększał swój majątek.

Dziewica z roczną gwarancją

A teraz wróćmy do współczesności, którą znam z autopsji. Jakiś czas temu mój znajomy, szwedzki potentat od handlu kserokopiarek, rozwiódł się po raz trzeci. Gruntowna analiza jego niepowodzeń matrymonialnych doprowadziła go do zaskakującego wniosku: winna była… bariera językowa! A raczej jej brak. On po prostu nie mógł słuchać, co mówi jego żona, a ona wiecznie była obrażona na jego słowa. Zauważył to już po pierwszym rozwodzie. Dlatego kolejny związek zawarł z Norweżką. Problem nieco zelżał, ale nadal był, bo norweski i szwedzki są zbyt podobne. Trzeci raz rozwiódł się z Dunką – z tych samych powodów. Prawdziwy poliglota rozwodów!

I wtedy, w czasach rozkwitu biur matrymonialnych, szczególnie tych z Chin (dziś to się nazywa „panny z katalogu"),

Życie w dobrobycie

Do czasu, gdy handlowcy wpadli na to, że w walentynki można sprzedawać wszystko od wibratorów po wyjazdy na Malediwy, dzień ten sprowadzał się do wysyłania i otrzymywania anonimowych kartek z serduszkiem i nader radosnymi wyznaniami. Dziś radosnych informacji w formie papierowej nie dostaje niemal nikt. Ks. Tomasz Duszkiewicz również. A to dlatego, że od kiedy nie jest już doradcą do spraw edukacji społecznej w regionalnej dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku, to nie docierają doń niosące wiarę, nadzieję i miłość przelewy. Te zaś w latach 2017–2020 przysporzyły duchownemu ponad 476 tys. zł brutto, co dawało średnią ok. 10 tys. zł miesięcznie tylko z tytułu wynagrodzenia zasadniczego. Oprócz tego kapelana dotknęły nagrody finansowe w formie 55 tys. zł. Do tego doszło kolejne wynagrodzenie w kwocie 41 tys. zł i ekwiwalent za drewno wynoszący 8 tys. zł. Oprócz tego w ramach delegacji ksiądz przejechał ponad 68 tys. km. Zainkasował za to 57 tys. zł, plus 4 tys. zł za noclegi. Przelewy przychodziły księdzu również za niewykorzystany urlop, sfinansowanie studiów, udział w spotkaniach integracyjnych, zakup teczek, usługi reklamowej, usług gastronomicznych, zakup odznaki, wizy oraz noclegów i parkingów. Na koniec zaś klecha zainkasował odprawę w wysokości ok. 50 tys. zł. Miłość Lasów Państwowych do duchownego kosztowała firmę 863 tys. zł.

GUS nie wysłał nikomu walentynki, ale poinformował, że połowa pracowników w gospodarce narodowej zarabiała w sierpniu 2024 r. nie mniej niż 6968 zł, czyli 5080 zł na rękę, a druga połowa – mniej. GUS-owska mediana jest więc niższa o 18 proc. od – podawanego również przez GUS – przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia brutto w sektorze przedsiębiorstw w sierpniu, które wyniosło 8190 zł. Ba, mediana jest też mniejsza o prawie 15 proc. od również GUS-owskiego przeciętnego wynagrodzenia w gospodarce narodowej w sierpniu, które sięgnęło 8172 zł. Ponieważ na wojnie, w miłości i w statystyce wszystko jest dozwolone, to wypada wiedzieć, że dane z sektora przedsiębiorstw dotyczą firm zatrudniających co najmniej 10 pracowników, czyli ok. 40 proc. wszystkich pracujących. Dane GUS dotyczące gospodarki narodowej są inne, bo zawierają również informacje z mikrofirm, osób prowadzących działalność gospodarczą, przedsiębiorstw niefinansowych, a także jednostek budżetowych, fundacji, stowarzyszeń, samorządów gospodarczych, organizacji pracodawców, partii politycznych, związków zawodowych i sportowych, a nawet całkiem innych organizacji społecznych. Czyli wszystkich tych, którzy płacą sobie i pracownikom znakomicie mniej niż duże przedsiębiorstwa. Mediana kłamie więc najmniej i dzięki temu wiadomo, że w sierpniu 2024 r. 10 proc. najmniej zarabiających osób otrzymało wynagrodzenie nieprzekraczające 4300 zł brutto, czyli 3262 zł na rękę. To zaś znaczy, że żeby walentynkowo polecieć z kimś na Malediwy, osoby takie musiałyby nie jeść, nie pić, nie mieszkać, a tylko odkładać całość zarobionej kasy przez trzy i pół miesiąca.

150 zatrudnionych w fabryce obuwia o nazwie Sanita Footwear w Pile nie czeka na kartki walentynkowe, ale na dokumenty poświadczające, że już nie pracują. No i na zaległe wynagrodzenia. W 2023 r. firma zanotowała stratę sięgającą ponad 4 mln zł. W ramach redukcji kosztów zamknięto firmowy sklep i przeprowadzono pierwsze zwolnienia. W czerwcu 2024 r. podjęto decyzję o sprzedaży fabryki, co miało przynieść ulgę finansową. Nie przyniosło. W końcu w grudniu pracownicy zostali poinformowani o kryzysie i otrzymali polecenie, aby nie przychodzić do pracy. W przeddzień Wigilii zakończono zatem działalność fabryki i pozostawiono ponad 150 osób bez roboty. W styczniu do sądu wpłynął wniosek o upadłość firmy, skutecznie uniemożliwiający formalne zwolnienia i wypłatę czegokolwiek.

Walentynkowych zapewnień o uczuciu nie dostanie też wielu pracowników firmy Collins Aerospace z Podkarpacia. Zamiast kartki z serduszkiem 127 osób – 101 z produkcji i 26 osób ze stanowisk nieprodukcyjnych w Krośnie i Tajęcinie – dostanie wypowiedzenia. Firma nie plajtuje, bo zwolnienia obejmą 12 proc. personelu, albowiem w obydwu zakładach zatrudnionych jest 1056 osób. Najdziwniejsze w tym jest to, że Collins Aerospace, wcześniej znane jako Goodrich Aerospace, nie szyje butów. To jedna z największych na świecie firm zajmujących się wytwarzaniem produktów związanych z lotnictwem i obronnością. Zakłady w Krośnie i Tajęcinie specjalizują się w produkcji komponentów podwozi do popularnych samolotów pasażerskich, takich jak Boeing 737 czy Airbus 350. Wytwarzają również części do wojskowych maszyn F-16, F-18 i F-35. Podkarpacie leży niemal w strefie przyfrontowej, gdzie sprzętu wojskowego potrzeba dużo. Poza tym Unia wysupłuje kolejne miliardy euro, by zamawiać sprzęt wojskowy w firmach amerykańskich. Skoro mimo to trzeba redukować załogę, to o co tak naprawdę chodzi?

Bo przecież nie o to, że TSUE orzekło, że Polska musi zapłacić 320,2 mln euro tytułem okresowej kary pieniężnej orze-

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 6f92167abc

znajomy trafił na ofertę nie do odrzucenia: „Śliczna, mądra, pracowita narzeczona, 24 lata, 165 cm, 52 kg, oczy brązowe, włosy czarne, uśmiech promienny, dziewica. Rok gwarancji z możliwością zamiany bez podania przyczyny". Cena? Niewymieniona wprost, ale pokrycie kosztów podróży, wiz, administracji i ewentualnego ślubu spadły na niego. Później, po kilku głębszych, przyznał, że kosztowało go to 200 tys. szwedzkich koron, czyli jakieś 19 tys. dolców.

Obrzydliwe? Niegodne? Deprecjonujące? Prostackie? Możliwe. Ale wiecie co? Po 10 latach mój znajomy już nie jest potentatem od kserokopiarek – rynek się skurczył. Nie jest nawet prezesem własnej firmy. Przeszedł na etat. Jego chińska żona Xiao Li (Mała Piękność) mówi po angielsku na poziomie basic, a po szwedzku jeszcze gorzej niż ten basic. Ale są w satysfakcjonującym związku. Rozwód mu do głowy nie przychodzi, a ona wychowała trójkę jego dzieci, w tym dwójkę z poprzednich związków. Bariera językowa okazała się błogosławieństwem, milczenie – złotem, a chińska żona – skarbem.

Najlepsi przegrywają

No więc trochę odczarowałem to kobiece wyrachowanie, złagodziłem jego społeczne reminiscencje. Ale żyję już dostatecznie długo, by dostrzec jeszcze inną prawidłowość. Przyglądam się relacjom młodych ludzi i dochodzę do wniosku, że… w ogóle nie mam racji!

Kobiety, jak zauważyłem, gustują w egoistach, narcyzach, psychopatach, hazardzistach, pijakach, kobieciarzach i fanatykach religijnych, niedojrzałych emocjonalnie egocentrykach, pozbawionych empatii i unikających obowiązków, czyli takich, którzy na partnerów się nie nadają. Mówiąc krótko: im większy drań, tym lepszy kandydat.

A odpowiedzialni, lojalni, opiekuńczy, inteligentni, ambitni, stabilni finansowo, cierpliwi, wierni wartościom rodzinnym – czyli idealni kandydaci na mężów – przegrywają na rynku matrymonialnym. Zostają starymi singlami z kotem na pocieszenie.

Kobiety gustują w draniach, a porządni faceci zostają na lodzie?! Szokujące! Tego nie rozumiem. Ale mój dziadek mawiał: *Nie próbuj zrozumieć kobiety, bo ci się, kurwa, nie uda*. I ja się z nim zgadzam. Zatem wszystkim zakochanym życzę nie zrozumienia, ale miłości. Na przekór wszelkiej logice.

ROBERT JARUGA

czonej za zmiany dotyczące organizacji polskiego wymiaru sprawiedliwości, przyjęte w grudniu 2019 r. Znaczy to, co jeszcze niedawno na koniec każdych „Faktów" w TVN skrupulatnie wyliczano. Oficjalna propaganda dzisiejszego rządu od ponad roku przekonuje, że Polska nie dość, że jest ulubieńcem Brukseli, to na dodatek ma w Unii silniejszą pozycję niż Niemcy i Francja razem, dzięki czemu, co Tusk chce, to Komisja Europejska robi. Wyrok TSUE pokazuje, że opowieści o miłości Komisji Europejskiej do Polski są mocno przesadzone. Bo to właśnie Komisja Europejska wniosła do Trybunału Sprawiedliwości skargę przeciwko Polsce. I przez ostatni rok nie dała się przekonać do jej wycofania. Żeby tylko... Ponieważ Polska nie zapłaciła, Komisja przystąpiła do egzekwowania kary przez potrącenie z unijnych wypłat, dzięki czemu wśród powszechnej miłości do naszego kraju płyniemy jako państwo na niemal 1,5 mld zł.

Zdawać by się mogło, że to dużo. Ale w zestawieniu z zeszłorocznym zyskiem Santander Bank Polska – niekoniecznie. Ten bowiem wyniósł 5,21 mld zł i był wyższy o prawie 8 proc. wobec 2023 r., gdy odnotowano 4,83 mld zł. Ponad 5 mld do przodu to nowy rekord w historii polskiego oddziału hiszpańskiej finansjery. Bank poprawił wyniki pomimo płaczu o stagnacji, olbrzymich odpisów na kredyty frankowe i innych niemiłych rzeczy, które – zdaniem bankowców – powodują, że banki już ledwo przędą. Co, jak widać, jest równie prawdziwe jak większość uczuć deklarowanych w walentynki.

TTJ

We trójkę ze świętym Walentym

Śpieszmy się kochać z ludźmi

Jeszcze niemal 40 lat temu Polki nosiły na wzgórkach łonowych obfite futra, jedyną potomkinią Wandy korzystającą w seksie z własnego anusa była Teresa Orlowski, a zrealizowanie męskiej fantazji o trójkąciku z własną babą i koleżanką Basią z biura było równie prawdopodobne jak to, że Polska będzie w Unii i NATO.

Fantazja przyszła z kasetami wideo i kapitalizmem, a przyśpieszenia dostała, gdy pod strzechy zawędrował internet. Kapitalizm przyniósł biedę, a jedyną przyjemnością, która nie wymagała kasy, było seksualne spełnienie. Pornole nakręcały spiralę. Misjonarska kopulacja pod pierzyną to nie było to samo co filmowe wyuzdanie w pięknych wnętrzach z pannami o wydepilowanych wzgórkach łonowych i facetach z wygolonymi moszna-mi. Dzięki internetowi każde dziewczę dowiedziało się, że nie tylko ono ma kisiel w majtkach na widok innego dziewczęcia, a seks analny to nie bolesna fanaberia faceta, ale ulubiona przez kobiety forma osiągania spełnienia. Żeby było jeszcze zabawniej, większość z nich w to szczerze uwierzyła.

Amerykańskie marzenia

Jak większość mód w ostatnich dziesięcioleciach, i ta na nowe postrzeganie seksu przyszła ze Stanów Zjednoczonych. Tak samo zresztą jak walentynki i pęd do robienia bardziej niż drogich wesel, bo to wszak pierwszy i ostatni raz w życiu.

Tyle że jak zwykle była to amerykańska ściema. Jeszcze trzy dekady temu, w Stanach rozpadały się dwa małżeństwa na trzy. Dziś tylko co drugie. Pokolenie millenialsów decyduje się na dłuższe oczekiwanie na zawarcie związku małżeńskiego i dłuższe pozostawanie w związku małżeńskim, co jest ponoć głównym motorem spadku zarówno wskaźnika małżeństw, jak i rozwodów w USA. Tak chciałaby amerykańska propaganda, ale i to jest nieprawdą. Tamtejsze małżeństwa rzadziej się rozwodzą, bo doszły do wniosku, że to się nie opłaca. Dowodzą tego wyniki badań pokazujące, że roczny dochód przekraczający 50 tys. dol. zmniejsza ryzyko rozwodu nawet o 30 proc. w porównaniu do osób z dochodem poniżej 25 tys. dol. Pary, które na początku małżeństwa nie posiadają żadnego majątku, mają o 70 proc. większe prawdopodobieństwo rozwodu niż pary, które dysponują majątkiem o wartości 10 tys dol. Małżeństwo dla millenialsów stało się kontraktem finansowym, którego nie opłaca się zrywać. Jeśli jednak dochodzi do rozstania, to wcale nie z powodu skoków w bok któregoś z partnerów. Dla trzech czwartych rozwodników w USA kluczowy jest brak zaangażowania. Niewierność jest na którymś z kolejnych miejsc. I choć według naukowców zdradza od 30 do 50 proc. amerykańskich mężów i od 20 do 40 proc. tamtejszych żon, to skoki w bok uważa za powód rozwodu połowa rozstających się par. To mniej niż uzależnienie od internetowej pornografii, która stanowi powód rozwodu aż dla 56 proc. par. Ba, Facebook został uznany za głównego sprawcę jednej trzeciej pozwów rozwodowych.

Wbrew pozorom amerykański, przesycony hipokryzją styl życia nieszczególnie – poza Halloween i walentynkami – się u nas przyjął. Choć w skokach w bok Amerykanom nie ustępujemy, bo badania wskazują, że od 28 do 38 proc. kobiet oraz od 38 do 52 proc. mężczyzn spojonych obrączką w Polsce przyznaje się do zdrady, to rozwodzi się u nas nieco więcej niż jedna para na trzy. A na dodatek niewierność to w Polsce powód rozwodu tylko dla co piątego rozstającego się małżeństwa. Może to dlatego, że polskie skoki w bok są dla stadła niegroźne. Wszak wśród okoliczności, w których najczęściej nad Wisłą seksimy się nie z własną połówką, badacze wymieniają: pracę – 34 proc., krąg znajomych, przyjaciół – 25 proc., szkołę, uczelnię – 9 proc., bar, pub, restaurację, dyskotekę – 8 proc., urlop, wyjazd, szkolenie wyjazdowe – 6 proc. oraz internet – 5 proc.

Badający współczesną seksualność zwracają uwagę na jeszcze jedną rzecz odróżniająca nas od Stanów Zjednoczonych: jesteśmy od nich mniejszymi hipokrytami. To dlatego w Polsce do seksu z kimś trzecim lub inną parą przyznaje się w badaniach co trzecie małżeństwo. W USA to ponad trzy razy mniej. Polskie pary nie muszą więc się zdradzać, bo dla osób realizujących się w wielokątach obcowanie płciowe w obecności współmałżonka za zdradę nie uchodzi.

Płeć przeciwprostokątnej

A wszystko dlatego, że Polacy masowo skorzystali nie tylko z internetowej pornografii, ale też z czegoś innego, co przyniosła seksualna rewolucja w sieci. Jeszcze kilkanaście lat temu, kiedy

Rys. HENRYK CEBULA

wpisało się w dowolną wyszukiwarkę frazę „seks w trójkącie", można było liczyć się ze znalezieniem propozycji wyłącznie w układzie: dwie kobiety i jeden mężczyzna. Wydawać by się mogło, że idea miniharemu przewiercała męski umysł od zawsze. Przecież 980 na 1154, czyli ponad trzy czwarte wszystkich kultur plemiennych przebadanych przez antropologów – zarówno dawnych, jak i funkcjonujących współcześnie – zezwalało mężczyznom na wielożeństwo. Z czasów, gdy dodatkowa partnerka wnosiła do związku nie tylko gotowość do oddania w posiadanie swojego ciała, lecz również kozę, wielbłąda i trzy sakiewki monet, w kobietach pozostało przekonanie o naturalności tej konfiguracji, w mężczyznach zaś – o płynącym z niej poczuciu prestiżu.

Trójkąty popularne są od czasów Pitagorasa. Jednak dotychczas wymóg, aby dwie przyprostokątne zaopatrzone były w waginy i biusty, stanowił nieprzekraczalną granicę. Ujarzmienie dwóch partnerek nadal zajmuje wysoko punktowaną pozycję wśród tematów poruszanych w męskim gronie. W XXI w. w etos prawdziwego mężczyzny obowiązkowo wpisuje się fantazję o dwóch (i więcej) partnerkach gotowych do zaspokojenia siebie nawzajem, jak również i zajmującego centralną pozycję męskiego obserwatora.

Ale pragnienie monopolizacji drzemie również w paniach, i to od wieków. Popularna w ostatnim czasie zamiana przyprostokątnych pań na dwóch panów tylko pozornie zrewolucjonizowała seksualne postrzeganie geometrii. Badania wskazują na ważki fakt, iż społeczeństw poliandrycznych było w historii o wiele więcej, niż się powszechnie sądzi. Wielomęstwo zadomowiło się w Chinach i na obszarze tybetańskim, w obu Amerykach, Środkowej Afryce, a przez pewien czas nawet u Eskimosów. To budująca wiadomość dla kobiet, w których nie ma zgody na to, aby historia – również historia seksu – pisana była wyłącznie przez mężczyzn.

To pragnienie było w kobietach od zawsze – potwierdzał już przed laty zmarły niedawno profesor Zbigniew Lew-Starowicz i dodawał: *Po prostu dziś panie są śmielsze. W moich badaniach fantazje o dwóch penisach obecne są od lat i utrzymują się na stałym poziomie 1 proc. badanych par. Kiedyś kończyło się prawie wyłącznie na pogadance. W dobie Internetu dowolne fantazje można zrealizować od ręki. Ta moda, to natężenie zjawiska, które obserwujemy od paru lat, ma związek z większą dostępnością poszukiwanych wrażeń*.

Wraz z zainfekowanymi internetem pokoleniami seksualne równouprawnienie dotarło i do tej formy realizacji erotycznej. Kobiety gustujące w trójkątach w wersji 1K+2M nie tylko mówią o swoich potrzebach głośno, lecz równie często z powodzeniem przekonują swoich stałych partnerów, że wypowiedzenie sakramentalnego „a może przyprowadź koleżankę" w odwróconej wersji nie boli. A poza tym, jeżeli dotychczas w trójkątach to niewiasty miały robić facetowi pokaz wzajemnych karesów, to co stoi na przeszkodzie, by nie mogło tego uskuteczniać dwóch samców?

Parytet rozkoszy

Jednak bycie gejem – choćby przez kilkanaście minut – to wciąż dla „prawdziwego Polaka" bardziej niż obciach. Bo nawet wtedy, gdy pod prysznicem więziennym korzysta się z tyłka ładniejszego osadzonego, to pedałem się nie jest. Biseksualność męska też nie ma najlepszych konotacji. Ba, nie ma nawet dobrych polskich badań dotyczących tego zjawiska. Najbardziej wiarygodne dane o tych, co mogą i z panią, i z panem, pochodzą ze Stanów Zjednoczonych. A wynika z nich, że nawet 20 proc. mężczyzn deklaruje związki lub kontakty seksualne z innymi mężczyznami w ciągu całego swojego życia (analogiczną deklarację złożyło tylko 17 proc. dorosłych kobiet). Wniosek z badań był taki, że większość z tych relacji była sporadyczna i miała charakter okresowy. I absolutnie nie była związana z zainteresowaniem kontaktami seksualnymi z osobami własnej płci. Prawdopodobnie nie więcej niż jedną trzecią z tych osób można byłoby nazwać czystymi biseksualistami. Reszta to nieco mniej ortodoksyjni heterycy.

Inne badania, które koncentrowały się na fantazjach seksualnych, wykazały zupełnie co innego. 80 proc. kobiet śliniłoby się na myśl o dziewczynie. Erekcję na myśl o innym facecie miałoby jednak tylko 23 proc. samców.

Większość panów, którzy ulegają namowom partnerek na trójkąt z przewagą mężczyzn, przysięga na ojca i matkę, że homosiami nie są. Biseksualnych też mamy mniejszy odsetek, niż mogłoby się wydawać.

Stanowisko seksuologów w tej sprawie jest proste: *oficjalnie ci mężczyźni deklarują orientację heteroseksualną, ale nie jesteśmy w stanie zbadać, jak to z nimi jest naprawdę. Na pewno pewien procent podczas takich zabaw odkrywa w sobie mniejsze lub większe tendencje do biseksualizmu*.

Zdarza się też, że obawa przed posądzeniem o homoseksualne zapędy zwycięża i postawieni między młotem a kowadłem kochankowie dla świętego spokoju decydują się wyłącznie na serię pieszczot oralnych z trzecim pod okiem napalonej małżonki. Boją się iść na całość.

Ostatnie badania pokazują jednak, że więcej facetów decyduje się na powtórzenie trójkąta z kolesiem, niż kobiet na kolejny numerek z Basią z księgowości. Po przełamaniu pierwszych lodów i wyzbyciu się lęku przed porażką przychodzi otwarcie na przyjemność podsycaną przez podwójne przecież usatysfakcjonowanie partnerki.

Gdyby przyjąć, że w seksie chodzi o to, żeby wszystkim było przyjemnie, to takie jazdy nie powinny nikogo dziwić. Bo w końcu jaka jest różnica, czy mężczyzna doprowadza żonę do szczytowania wibratorem, czy za pomocą innej kobiety lub faceta. Skoro tak, to dlaczego babeczka do sprawienia frajdy swojemu chłopu ma nie wykorzystać koleżanki lub kolegi? Zarzuty o uprzedmiotowienie partnerów seksualnych w czasach upowszechnienia się wibratorów i sztucznych pochew, można wysłać tam, gdzie spoczywają w pokoju tezy o dopuszczalności kopulacji jedynie w celu spłodzenia potomstwa, dozgonnej wierności, nierozerwalności małżeństwa i walentynkowej miłości aż po grób.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 6f92167abc

Niebezpieczeństwa szerokich parapetów

Alma mater bara--bara

Za górami, za lasami, w Gdyńskiej Szkole Filmowej, dawno, dawno temu, bo w roku 2021, znany reżyser Andrzej Fidyk, stary jak świat, poznał i pokochał szczerze piękną, acz niezbyt pilną studentkę rodem z bywszego Sojuza. I doszło do tego, do owego i Bóg wie, do czego jeszcze. A teraz piszą o tym gazety, bo piękna mówi, że stary ją zgwałcił.

Jak tam było albo nie było – w to się mieszać nie będę. Jam nie prokurator, podobnie jak dziennikarze. Jestem za to starym satyrem, etykiem i profesorem w dodatku, a przez to mam pewne przemyślenia w kwestii ten tego w relacjach na terenie uczelni i na terenach przyległych, jak restauracje, plaże i pobliskie hotele.

Niestety, uczelnie, zwłaszcza artystyczne, nie słyną z powściągliwości w sprawach płci. Dużo emocjonujących dyskusji, prażenia intelektem, małych pokoików, wielkich ambicji, młodych ciał, starych rozochoconych nierobów i rozbisurmanionych seksdocentów, kusicielek w okularach i bez, dekoltów, podwiniętych rękawów ukazujących owłosienie na przedramieniu, dyskretnych portierek i łazienek na każdym piętrze. O szerokich parapetach to szkoda już nawet wspominać. No, dzieje się. Jak świat długi i szeroki. Od prostytucji ordynarnej przez wielkie i małe miłości, romanse i romansiki aż po schadzki przedślubne, a może nawet i poślubne. Nie ma co udawać, że uniwersytet zamknięty jest na wartości witalne. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że pożycie płciowe ciekawi świat akademicki bardziej niż życie wieczne.

Jak to mówią, jest ryzyko, jest zabawa. Ale i na odwrót: jest zabawa, jest ryzyko. Czasami coś pójdzie nie tak, a wtedy, olaboga!, skrobanki, komisje dyscyplinarne, prokuratorzy i inne przyjemności, od których się odechciewa (na tydzień z okładem). Bo z nielegalnym seksem to już tak jest, że mogą być naciski albo nieporozumienia, a także odmienne interpretacje wydarzeń i inne nieporozumienia. Ktoś myślał, że to zabawa, a ktoś inny, że serio. Ktoś sądził, że jest pięknie i obopólnie, a ktoś inny, że pod presją i paskudnie. A jaka była prawda? Pan Bóg jeden wie, ale nie powie. Z byle kim gadać wszak nie będzie.

I właśnie dlatego, żeby nie było nieporozumień, przyjęto pewne zasady. Niestety, zasady niepisane, bo o pewnych rzeczach wstyd pisać. Bo jak by to wyglądało, gdyby koło zakazu palenia wyrobów tytoniowych w obrębie budynku uczelni wisiała tabliczka z napisem „Zakaz odbywania stosunków płciowych i innych czynności w pomieszczeniach uczelni". To się ma rozumieć bez słów, tak jak bez słów rozumieją się kochankowie na schodach. Niestety, życie pokazuje, że nie każdy jest taki mądry i lotny.

Warto więc, mimo wszystko, zasady choć raz obnażyć, jak, nie przymierzając, strefy intymne (tak to się teraz nazywa?). I tak – przede wszystkim – surowo zakazuje się wykładowcom flirtowania, a tym bardziej „stosunkowania się" ze studentkami. I niby wszyscy to wiedzą, ale są niejasności. Niejasności, dodajmy, najczęściej interpretowane na korzyść rui, a nawet porubstwa. Pierwsza niejasność dotyczy tego, że student może być mój, a potem już nie być mój, ale nadal studiować. Czy po zdanych egzaminach można? Przecież wtedy nie ma już ryzyka, że to nie dla stopnia albo że stopień będzie nie za wiedzę? Drugie pytanie jest o doktorantki i doktorantów. No bo to już nie jest młodzież, lecz raczej młodsi koledzy i młodsze koleżanki. Zasada szczególnej ochrony młodzieży tutaj już nie obowiązuje. No i wątpliwość najpiękniejsza: a co jak zdarzy się Prawdziwa Miłość? Czyż nie stoi ona ponad przyziemnym prawem, służącym dyscyplinowaniu wiecznie rozpinających się profesorskich rozporków? Pośledniejszy wariant tej romantycznej obiekcji dotyczy bardzo młodych wykładowców, którzy czasami uzurpują sobie prawo do koleżeńskiego, imprezowego seksu z niewiele młodszymi koleżankami studentkami.

Moja odpowiedź – przy całym moim niewątpliwym zepsuciu – jest prosta i jednoznaczna: jest zależność służbowa, to nie ma seksu. A w dodatku zależność służbową trzeba rozumieć szeroko. A czemu szeroko? Ano temu, żeby nie było wątpliwości. Seks na uczelni wycinamy z marginesem, aby nie było nieporozumień. Poznałeś atrakcyjną studentkę? Zaczekaj, aż skończy studia i się żeń! Tak uczynił mój stary i nikt do niego pretensji nie miał.

No ale czy to nie za surowy sąd? Przecież romanse to sprawy bardzo prywatne i różnie z tym bywa. Owszem, bywa różnie, więc jeśli miłość robi się ważniejsza od pracy, to zmieniamy pracę. Albo ciastko, albo przewóz, czy jak to tam leciało.

Wracając do zasad, wyglądają więc one dość ponuro. Nie wolno romansować nie tylko ze studentami, lecz również z byłymi studentami, o ile nadal studiują na tej samej uczelni. Nie wolno też romansować z doktorantami i w ogóle z podwładnymi (a więc również z przełożonymi), dopóki istnieje między nimi relacja służbowa, a w przypadku doktorantów – o ile jeszcze nie ukończyli studiów doktoranckich i nie obronili doktoratów. Ponadto nie wolno zatrudniać ani podejmować się recenzowania prac swoich aktualnych bądź byłych kochanek i kochanków, a także ich byłych i aktualnych partnerów. Po prostu szlaban na seks. Albo, albo, jak się wyraził Kierkegaard. Co więcej, nie wolno się na uczelni do nikogo zalecać, uwodzić ani dwuznacznie komplementować. Nie wolno niczego z tych rzeczy, które są tak częste i pospolite, że opowieści o naruszeniach owych reguł wypełniłyby więcej niż tysiąc i jedną noc.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nikogo te zasady nie cieszą, oprócz starych impotentów i żon akademickich playboyów. Ileż byłoby to nudne życie akademickie piękniejsze, gdyby można było w harmonii natury z kulturą wielbić pospołu i umysł, i ciało! Czyż piękna i mądra studentka nie zasługuje na pieszczotę? Czyż mądry i niegdyś przystojny profesor nie zasługuje na heroiczny dar młodego ciała? No, oczywiście, że zasługuje. Ale nie na uniwersytecie. Zasady są, jakie są, nie z powodu głupiej i tępej pruderii, lecz ze względu na trzy wartości, którym seksualny permisywizm zagraża.

A są nimi: bezpieczeństwo, sprawiedliwość i powaga instytucji. Gdyby zalegalizować swobodę seksualną na uczelniach, wiele osób narażonych byłoby na zaloty, których sobie nie życzy. O sprawiedliwości w ogóle nie byłoby mowy, bo emocje i więzi seksualne, podobnie jak frustracje i rozczarowania, musiałyby mieć wpływ na stosunki służbowe, na czele z egzaminowaniem i recenzowaniem. Konflikt interesów na tle relacji erotycznych jest nie do opanowania, a nawet gdyby ktoś umiał oblać własną kochankę, to i tak otoczenie nie dawałoby wiary, że faktycznie „wzniósł się ponad to", a nie tylko się zgrywa. No i wreszcie powaga. Nie chcemy, żeby uniwersytet był „wesołym domkiem", bo wiarygodność nauki uprawianej w oparach cielesnych sekrecji jest wysoce wątpliwa.

Na pocieszenie na rozpoczęcie roku akademickiego śpiewamy sobie średniowieczną piosenkę: *Vivant omnes virgines, faciles, formosæ!*, czyli „Niech żyją wszystkie dziewczyny, łatwe i piękne!". Podobno nie jest to całkiem poprawne tłumaczenie. Ja tam nie wiem, łaciny nie znam, ale jak dla mnie, to może być!

JAN HARTMAN

Lot nad naszym gniazdem

Po co nam państwo?

Stara jestem, to pewnie powinnam być poważniejsza: stać mocno na ziemi i liczyć się z rzeczywistością, rozpatrywać realne rozwiązania, formułować wyważone diagnozy, może nawet udzielać młodzieży światłych rad, a nie zamiast tego bujać w obłokach i opowiadać ludziom bajki. Ale kiedy chwilami z obłoków złażę na ziemię, to jestem przerażona, a cholernie nie lubię się bać.

Pozwólcie zatem, że także dziś odlecę. Bo jakże się nie bać, kiedy tu na ziemi Donald Trump w imperialnym zapędzie chce zawłaszczać – nawet siłą – arktyczną Grenlandię i gorącą, opływającą krwią Gazę. Zapowiada także odebranie Panamie fajnej zabawki (gra w statki), a połowie świata chce zakosić jeszcze więcej kasy, niż zwyczajnie to robił jego kraj, stosując protekcjonistyczną politykę ekonomiczną i rozliczenia w dolarach. Teraz wprowadza importowe cła. Do ucieczki w obłoki skłania mnie także trzeźwe spojrzenie na wschód od naszego grajdołka. Wiecie, o co chodzi – aż strach patrzeć: oczywiście tam rząd dusz i ciał trzyma kolejny imperialny bandyta. Brrr!

A kiedy skracam focus widzenia i rozglądam się bliżej siebie, to także nie czuję żadnej ulgi – boję się jeszcze bardziej. Nasze parapaństwo, Unia Europejska, w tym szczególnie nasz liderski zaścianek, w przerażeniu wycofuje się ze stosowania wcześniej przyjętego ludzkiego prawa do azylu i buduje wokół siebie mur przed uchodźcami. Mur, który ma chronić nasz raj przed nieszczęśnikami uciekającymi przed skutkami imperialistycznych wojen i imperialistycznego wyzysku, w którym nasza ukochana Europa przez wieki maczała solidnie swoje brudne paluchy. Co ciekawe, ostatnio „kierownik" – bo tak kordialnie w Platformie nazywają pana premiera – dzięki swej wypowiedzi o (podobno!) rosnącym zagrożeniu ze strony inostrańców przestępców, których będzie deportował, dorównał swym rywalom politycznym w sianiu społecznej nienawiści do każdego, kto nie jest swój.

Trudno także nie zobaczyć, że w obliczu agresywnych zamiarów światowego imperializmu nasz światły kraj zbroi się po zęby. W tym celu kupuje za ciężkie pieniądze ciężkie uzbrojenie od imperialistów, żeby nasi młodzi dzielni chłopcy mieli w rękach jakiś porządny sprzęt do zabijania, z którym w razie konieczności będą mogli umierać za ojczyznę. Oczywiście, podobnie jak ja

Ziemia obesrana

Jak zwija się Łódź

Łódź to miasto wyjątkowe. Ostatnio usłyszałem, od osoby z Warszawy oczywiście, że to „taka duża Praga Północ". Być może… Pod rządami Hanny Zdanowskiej miasto się jednak zmienia. Powstaje nikomu do niczego niepotrzebne miasto wydmuszka, z którego młodzi czym prędzej uciekają, a reszta mieszka, bo się przyzwyczaili.

Tuż po upadku PRL Łódź liczyła 848 tys. mieszkańców, pod względem ludności ustępowała jedynie stolicy. Przez ponad 30 lat tzw. wolnej Polski Łódź skurczyła się o 200 tys. ludzi, wyprzedziły ją Kraków i Wrocław. Upadek przemysłu – region był zagłębiem włókienniczym – spowodował masowe bezrobocie i związane z tym problemy społeczne. Jak można się domyślić, nie zniknęły one wraz z poprawą wskaźników gospodarczych w ostatnich latach.

Jest nas coraz mniej – Polaków. Nie jest dziwne więc, że ludności w miastach będzie ubywać. Według przewidywań prof. Piotra Szukalskiego, demografa z Uniwersytetu Łódzkiego, do roku 2050

eprasa.pl 6f92167abc

Rys. MARCIN CHUDZIK

widzisz, że świat jest nie tylko podzielony, ale podzielony w sposób konfrontacyjny, a nawet wrogi i pewnie tak jak ja dostrzegasz grozę tej sytuacji. A przecież nie sposób nie dostrzec, że świat technicznie stał się już globalną wioską. Czy zastanawiałeś się kiedyś, co powoduje, że nadal istnieją państwa – organizacyjna istota tego podziału?

Przyczyn istnienia wielu państw na globie możemy wymienić wiele, ale jest kilka powodów, żeby zastanowić się nad alternatywą.

A zatem czas najwyższy, żeby opowiedzieć bajkę. Bajkę o tym, że wszyscy żyjemy w jednym państwie – jednej sfederalizowanej globalnej organizacji.

Wyobraź sobie takie globalne państwo. Łatwo zadbać w nim o zachowanie pokoju. Ludzkość już doświadczyła eksperymentu pod nazwą Stany Zjednoczone. Mimo że pod wieloma względami USA było i jest eksperymentem agresywnym i paskudnym, to bezpośrednia wojna pomiędzy stanami USA od czasu wojny secesyjnej nie miała miejsca. Podobnie doświadczenie istnienia Unii Europejskiej spowodowało, że wojny pomiędzy państwami Unii nie było. Zatem ludzkość powołała globalny parlament i rząd, obdarzając go wynikającymi z globalnej konstytucji kompetencjami odpowiednimi dla centralnego sterowania państwem-światem. Państwom powierzono zadania bardziej lokalne, a i one były podzielone na mniejsze samorządowe jednostki. Oczywiście zlikwidowano wojsko, pozostawiono wyłącznie siły milicyjne, których zadaniem było dbanie o przestrzeganie stanowionych praw. Sądownictwo, niezależne od władz, dbało o przestrzeganie praw. Większość praw dotyczyła w równej mierze wszystkich mieszkańców globu. Niektóre regiony posiadały zestaw lokalnych praw komplementarnych, a nie sprzecznych z prawami ogólnymi. System podatkowy, prawo cywilne i karne w swej zasadniczej części także były identyczne na całym świecie. Ten poziom równości spowodował szybkie wyrównywanie się poziomu życia na całym świecie poprzez racjonalne i sprawiedliwsze rozdysponowanie dóbr. Lokalne nacjonalizmy powoli przestawały mieć polityczne znaczenie.

No, Grodzka... to całkiem dziś w tej bajce odleciałaś! Zapomniałaś o ludzkiej chciwości i powiązanej z nią żądzy władzy! Tak, muszę przyznać rację. Nadal bez rzetelnie działającej demokracji i okiełznania władzy kapitału ta bajka nie wygląda na prawdopodobną – nawet w świecie bajek.

Cóż! Trzeba nadal opowiadać kolejne bajki.

ANNA GRODZKA

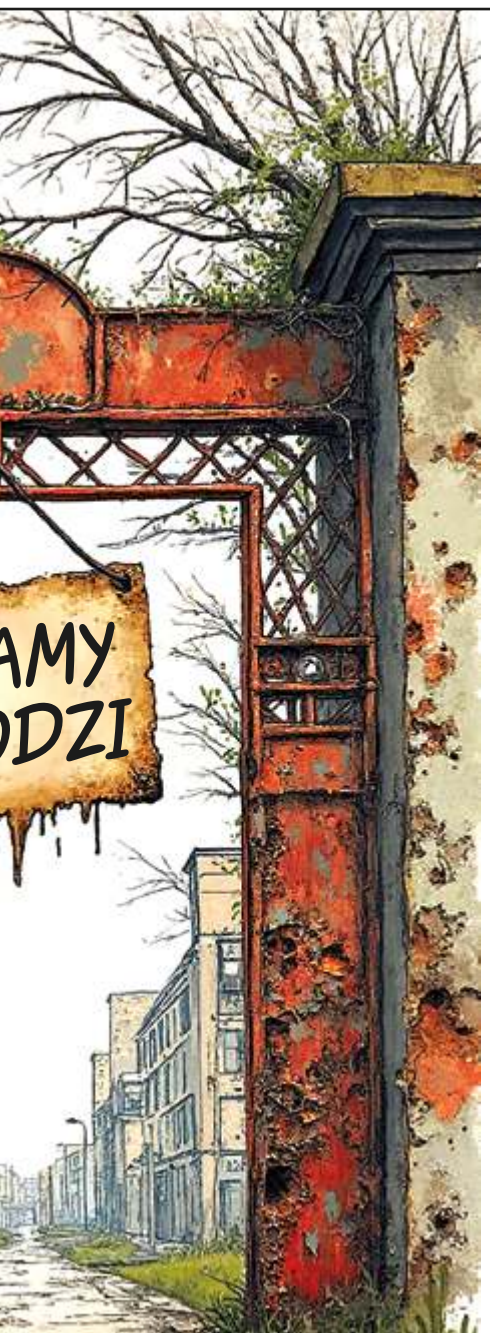

Ilustr. PAWEŁ FERENC

tylko w Warszawie i Krakowie spadki będą żadne lub nieznaczne. Ujemny przyrost naturalny zostanie tam zrekompensowany dodatnim saldem migracji, nie tylko zagranicznych, ale i krajowych. Pozostałe miasta zaś skurczą się. Depopulacja najbardziej dotknie Łódź, którą w 2050 r. ma zamieszkiwać 508 tys. ludzi. 40,2 proc. z nich będzie mieć ponad 60 lat. Młodych do 20. roku życia będzie trzykrotnie mniej.

Myślicie może, że rządzących miastem to interesuje? Otóż niezbyt. Jest to cokolwiek logiczne, biorąc pod uwagę, że kiedy skutki ich zaniechań spadną na mieszkańców, dzisiejsi rajcy będą smacznie spać w grobie. Ku chwale ojczyzny.

Twierdzą, że nic się nie da zrobić, i pocieszają nas, że za 20 lat powstanie tunel w 40 minut łączący nas z Warszawą. Może zresztą to będzie za 30 lat – budowa wciąż jest zatrzymywana przez padające na trasie kamienice – ale wtedy Łódź stanie się dzielnicą stolicy, jego nieco geriatryczną sypialnią. Można i tak.

Ekipa rządząca Łodzią często powtarza, że „Łódź to największy kamienicznik w Polsce". Skojarzenia z podłym wyzyskiwaczem, który gotów jest wyrzucić staruszkę na śmietnik, są zapewne niezamierzone – ale jako działacz lokatorski, mający przez lata do czynienia z różnymi przedstawicielami miasta od mieszkalnictwa, mogę tylko potwierdzić. Intencje włodarzy są jednak inne. Chodzi im o likwidację zasobu komunalnego, który w porównaniu do innych dużych miast jest spory – blisko 40 tys. lokali. Jest jednak zaniedbany – 40 proc. z nich nie posiada toalety, a kilka tysięcy bieżącej wody.

Zamiast jednak inwestować w tanie budownictwo czynszowe, traktując je jako cenny zasób umożliwiający prowadzenie polityki ściągania młodych, samorząd mieszkania wyprzedaje w tempie ok. tysiąca rocznie. Dodam istotny fakt: jedna czwarta łódzkich radnych to milionerzy, w portfolio posiadający co najmniej kilka mieszkań.

Wiceprezydent Adam Wieczorek, odpowiedzialny w mieście za gospodarowanie zasobem lokali mieszkalnych i użytkowych, ma ich skromne dziewięć. W interesie tych spekulantów jest to, żeby mieszkania drożały.

Każdy w miarę trzeźwy mieszkaniec Łodzi przyzna, że ciężko się tu żyje. Komunikacja miejska w ruinie. Infrastruktura rozjebana, dziury w drogach i chodnikach. Remontowe wtopy skutkujące tym, że po remoncie znów trzeba naprawiać. I tak dalej. A ponieważ Zdanowska i spółka wie, że nie daje rady, uzasadnienia swojej władzy szuka na zewnątrz, wydając miliony na propagandę i ładne obrazki w swoich socialach. To rosnąca liczba turystów ma być dowodem, że miasto zmienia się na lepsze. Pani prezydent właśnie ogłosiła, że w zeszłym roku było ich 4,7 mln. Pal licho, że do tej liczby wliczono 3,7 mln osób, które były w mieście np. przejazdem. Albo przyjechali, przerazili się i uciekli.

Ale to nieważne. Ważne, że można pochwalić się sukcesem.

DAMIAN DUSZCZENKO

WIEŚCI GMINNE i INNE

Piła, nie piła, a w Pile się piło. Ukraiński szofer tira, nawalony jak stodoła, postanowił zagrać w rosyjską ruletkę na pilskich ulicach. Z trzema promilami na karku pruł pod prąd przez centrum miasta. Rondo? Żaden problem, przecież to tylko kółko dla ozdoby. Kilka ulic? Dla prawdziwego ukraińskiego kozaka to jak splunąć. Dopiero interwencja policji drogowej zakończyła ten rajd happy endem. Cudem nikomu nic się nie stało.

Białostocka policja wpadła w tarapaty. 14 funkcjonariuszy połasiło się na łapówki od kierowców jak sroki na błyskotki. Zamiast mandatów i zatrzymanych praw jazdy woleli brzęczącą monetę. Ot, taka białostocka szkoła przetrwania korupcyjnej tradycji w drogownictwie. Łza się w oku kręci za tymi czasami, kiedy pan policjant pytał: „No i co ja mam teraz z wami zrobić?". Z reguły trzeba było kwotę mandatową podzielić przez dwa. Teraz grozi za to do 10 lat odsiadki.

Miła ulica w Rzeszowie, a na niej dramat rodem z horroru. Para kochanków, 27-letnia kobieta i 28-letni mężczyzna, zakończyła swój romans w dość ostry sposób. On dźgnął ją nożem kilkanaście razy, a potem, jak na dżentelmena przystało, sam sobie zrobił kuku tym samym narzędziem. Ojciec chłopaka niczym niechciany gość weselny odkrył makabryczną scenkę. Samobójstwo nożem to rzadkość, ale jak widać, w miłości i na wojnie wszystkie chwyty dozwolone, nawet te mało popularne. Ot, taka rzeszowska tragedia, gdzie ul. Miła stała się areną ostatecznego starcia Amora z nożem kuchennym.

Achtung, Achtung! Nadchodzi wielka mobilizacja! Od 3 lutego do 30 kwietnia armia otwiera podwoje (i szlabany) dla 230 tys. szczęśliwców. Nie tylko młodzi mężczyźni, ale i kobiety, a nawet dojrzali panowie do sześćdziesiątki dostaną szansę, by poczuć żołnierski dryg. Za niestawienie się grozi wizyta smutnych panów w niebieskich mundurach lub kara grzywny. Ale spokojnie! Dla tych, którzy stawią się na wezwanie, przewidziano zwrot kosztów dojazdu i dniówkę w wysokości 143 zł. Można więc potraktować to jako darmową wycieczkę z obiadem. A nuż widelec ktoś odkryje w sobie powołanie do noszenia munduru i obrony ojczyzny przed… no właśnie, przed czym? To już zostawiam waszej wyobraźni.

Daria Astapienko, białoruska Mata Hari, zagrała polskiej policji na nosie. Skazana za szpiegostwo, zamiast grzecznie odsiedzieć wyrok do końca, postanowiła zniknąć. Zniknęła tak skutecznie, że nawet list gończy jej nie znalazł. A przecież miała już prawie odsiedziane, mogła wyjść za dobre sprawowanie albo zostać ułaskawiona przez Dudę. Potem wrócić do ukochanego zajęcia – kręcenia porno na OnlyFans. Teraz policja drapie się po głowie. Jeśli ktoś widział Darię, proszony jest o kontakt. Tylko uważajcie, może wciągnąć was w jakąś szpiegowską aferę albo obciągnąć wam na planie jakiegoś filmu porno.

Krotoszyn ogłosił podwyżkę podatku od posiadania psa – z 72 zł na aż 84 rocznie! Właściciele czworonogów załamują ręce. W ramach usprawiedliwienia gmina chwali się programem kastracji i sterylizacji, co – jak twierdzą niektórzy – jest przejawem skandalicznej dyskryminacji i braku tolerancji dla naturalnych psich instynktów. Władze zapewniają też, że podwyżka nie dotknie dyplomatów, co jest o tyle absurdalne, że w Krotoszynie nie ma ani jednej ambasady. Z ulgi skorzysta 70 seniorów, co – biorąc pod uwagę starzejące się społeczeństwo – jest kroplą w morzu potrzeb. Proponujemy Krotoszynianom rewolucyjną optymalizację podatkową: wygonić psa na bruk, czekać, aż trafi do schroniska, a potem go odebrać. Psy ze schroniska są bezpłatne. Genialne, prawda? W Krotoszynie bezdomność się opłaca. Przynajmniej psom.

Chcesz kupić mieszkanie w górach? Przygotuj gruby portfel, bo deweloperzy na Podhalu zwariowali. Zakopane i okolice (powiat tatrzański) biją Warszawę na głowę – 15 717 zł/mkw. kontra 13 081 zł/mkw. Karpacz, Wisła, Szklarska Poręba i Świeradów-Zdrój też nie są tanie, choć nieco tańsze. A Sopot? Sopot, choć nad morzem, to już w ogóle kosmos! Tam ceny mieszkań sięgają zenitu (konkretnej kwoty nie podali, ale pewnie ze 20 tys. zł za metr kwadratowy trzeba liczyć). Widać, że bliskość morza i gór działa jak kokaina. Jeśli więc marzysz o własnym M w górach lub na wybrzeżu, to proste. Wygraj zwyczajnie w totka.

Mieszkańcy i przedsiębiorcy z Leszna muszą sięgnąć głębiej do kieszeni – podatki od nieruchomości wzrosły średnio o 17 proc. Prezydent miasta, podpisując decyzje podatkowe, stwierdził: *trzeba być odważnym*. Odwagę tę mają udowodnić również urzędnicy. 39 z nich zostało oddelegowanych do osobistego dostarczenia 16 tys. decyzji wymiarowych podatku. Akcja ma się odbywać w dni robocze poza godzinami pracy urzędu oraz w soboty. Prezydent nazywa to *najbardziej efektywnym rozwiązaniem*, choć sam najwyraźniej nie zamierza brać w akcji udziału.

Głogówek, niewielkie miasto w woj. opolskim, postanowiło zagrać va banque i zaproponowało Elonowi Muskowi zakup swojego XVI-wiecznego zamku. Powód? Prozaiczny – gminie brakuje kasy na remont, a 100 mln zł to dla niespełna sześciotysięcznego Głogówka suma astronomiczna. Burmistrz niczym błagalnik wyciąga ręce do najbogatszego człowieka świata, przekonując, że to nie wyprzedaż, a *dramatyczny apel o pomoc*. Zamek co prawda spory, bo 3 tys. mkw. ale dla Muska to pewnie jak domek dla lalek. Czy miliarder skusi się na polską ofertę? Na razie podobno rozgląda się za czymś we Włoszech. Ale burmistrz Głogówka się nie poddaje. Może Musk doceni urok śląskiego zabytku? W końcu, kto by nie chciał mieć zamku w Polsce?

Kangury na scenie z AC/DC? To dopiero będzie rock and roll! Albo raczej rock and hop. Australijska kapela zagra w Polsce 4 lipca 2025 r. na Stadionie Narodowym w Warszawie. Za przyjemność posłuchania trzeba będzie słono zapłacić. Ceny biletów zaczynają się od 750 zł. Za miejsce stojące na płycie trzeba wywalić – bagatela – 805 zł. A to wszystko po to, żeby zobaczyć, jak Angus Young ściga się z kangurem po scenie. Bilety Platinum za prawie 2 tys. zł to już chyba z torbą na młodego kangura w zestawie.

Lasy Państwowe jak Don Kichot rzucają się na wiatraki, bo planują postawić ich 2,5 tys. w ramach przedsięwzięcia „Las Energii". Czy to szaleństwo, czy genialny plan? Miliony ton betonu i stali w lesie brzmią groźnie, ale cóż począć, kiedy prądu potrzeba, a węgiel truje? Jeden wiatrak (6–7 MW) zasili 20–23 tys. domów, więc może warto poświęcić kilka drzew dla dobra ogółu? Ptaki i nietoperze pewnie nie będą zachwycone, ale za to dzieci będą miały czym ładować smartfony.

Pleszewskie szkoły i przedszkola wprowadziły Mobilne Strefy Ciszy – filcowe worki, w których dzieci mogą się schować przed hałasem i stresem. Pomysł rodem z gabinetu Macierewicza. Zamiast leczyć przyczynę – hałas i przebodźcowanie – funduje się dzieciom terapię workową. Wróżę problemy. Zamknięte w workach dzieci to łatwy cel dla szkolnych łobuzów. A Wioletta Matusiak, pedagog (a przynajmniej tak o sobie mówi), która wymyśliła Mobilne Strefy Ciszy, niech lepiej zajmie się czymś pożytecznym. Na przykład szydełkowaniem.

Uwaga, Warszawiacy! Trakt Królewski przekształca się w twierdzę, fortecę, bastion, cytadelę. Szykujcie się na wysyp antyterrorystycznych zapór drogowych, gęstszych niż pryszcze na nosie nastolatka po tygodniu na diecie z czekoladowo-frytkowej. Będą mobilne, montowane i demontowane za pomocą dźwigu HDS. Te cuda fortyfikacyjnej techniki za 1,2 mln zł z kieszeni warszawskiego podatnika podobno wytrzymają uderzenie siedmiotonowego pojazdu pędzącego 48 km/h. Czyli teoretycznie mogą powstrzymać rozpędzoną ciężarówkę z kartoflami, ale czy poradzą sobie z czołgiem Putina? Prędzej zamienią Trakt Królewski w tor przeszkód dla karetek pogotowia, wozów strażackich i policyjnych, a Warszawiaków – w mistrzów slalomu między betonowymi klockami. Brawo!

RJ

PS Niniejszym informujemy, że powyższe wieści pochodzą z mediów lokalnych i nie zostały przez nas zweryfikowane. Nie ponosimy odpowiedzialności za ich rzetelność i prawdziwość. Zachęcamy do krytycznego podejścia do prezentowanych treści wieści.

eprasa.pl 6f92167abc

Donald, zbawca TikToka

Dlaczego administracja Bidena uparła się na chińską platformę? Bo jest chińska.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Odważnie stwierdzę, że cała nagonka mogła być efektem zakulisowych nacisków Mety, a więc konglomeratu, który na wzroście TikToka stracił najwięcej. I który, nawiasem mówiąc, stosuje bliźniacze praktyki.

Pożegnanie z Joe Bidenem odbyło się pod znakiem TikToka. Nocą 18 stycznia, tuż przed zaprzysiężeniem Donalda Trumpa na włodarza USA, popularna platforma społecznościowa została w Stanach Zjednoczonych zablokowana. Na niecałe 12 godzin. Ot i całe zamieszanie: młodzieńcza trauma, płynąca z długich godzin bez ulubionej aplikacji. Na pierwszy rzut oka sprawa wydaje się błaha, ale administracja Bidena jako pierwsza wypowiedziała otwartą wojnę chińskiej aplikacji, choć podobne podchody zaczęły się w Europie już na początku 2023 r. Większość obywateli nie ma pojęcia, o co chodzi w zakulisowych walkach urzędników z technologicznymi gigantami. Dlatego warto zadać sobie pytanie: czy TikTok to naprawdę wcielenie zła pochłaniające umysły młodzieży na całym świecie? A w pierwszej kolejności – czym właściwie jest ten cały TikTok?

Śledzenie i reklamowanie

W skrócie: to platforma służąca do publikowania krótkich, najczęściej trwających do minuty filmów. Co ważne w całej historii, TikToka od innych dominujących mediów społecznościowych odróżnia fakt, iż jego właścicielem jest przedsiębiorstwo chińskie – ByteDance. W przeciwieństwie do YouTube'a treści serwowane widzom są dużo bardziej losowe, bo użytkowanie sprowadza się do przewijania kolejnych filmików, bez wiedzy, jaki będzie następny.

To mechanizm psychologiczny, który sprzyja szybkiemu uzależnieniu; działa podobnie do maszyn hazardowych. I owszem, istnieje algorytm dostosowujący treści do odbiorcy poprzez zbieranie danych o tym, które publikacje przykuwają naszą uwagę, ale dalej bazuje na mechanizmie losowości. W przeciągu niespełna siedmiu lat (w 2018 r. ByteDance za 1 mld dol. wykupił podobną, choć nie tak popularną aplikację Music.ly) zrodziła się nowa potęga współczesnego Internetu. Dziś TikTok ma około 1,2 mld użytkowników i można śmiało mówić, że zjadł konkurencję, którą w głównej mierze był YouTube, ale skutki lawinowego wzrostu popularności chińskiego giganta dotknęły też cały konglomerat technologiczny, jakim jest Meta (właściciel m.in. Facebooka i Instagrama).

Trzeba przyznać, że poza uzależniającym sposobem działania TikTok nie sprawia wrażenia, jakby miał zagrażać podwalinom zachodniej cywilizacji. Skąd więc ta nienawiść ze strony Wuja Sama do ByteDance i jego dziecka?

Od dłuższego czasu niepokój legislatorów zza oceanu wzbudzała kwestia wycieku danych użytkowników do administratorów aplikacji. Warto zaznaczyć, że kradzież danych osobowych na mniejszą lub większą skalę jest zjawiskiem dość powszechnym na wszelakich platformach. Dzieje się to za naszą milczącą zgodą – bo choć „śledzenie użytkowników przez technologicznych gigantów" brzmi groźnie, w gruncie rzeczy sprowadza się do lepszej personalizacji reklam. Ot, symbol naszych czasów.

Aplikacja kontrolowana przez wroga zagranicznego

Większość rynku mediów społecznościowych jest opanowana przez Marka Zuckenberga i Elona Muska. A kiedy dane wyciekają do firm amerykańskich, nie wzbudza to takiego niepokoju jak wtedy, gdy chodzi o przedsiębiorstwo z kapitałem chińskim. Wtedy rodzi się niepokój: że właściciele TikToka pod wpływem nacisków Chińskiej Partii Komunistycznej mogą dzielić się danymi Amerykanów z władzami Państwa Środka. Z tego powodu władze USA uznały platformę za aplikację kontrolowaną przez wroga zagranicznego (*Foreign Adversary Controlled Application*). Amerykanie zwrócili uwagę także na inne aspekty dotyczące bezpieczeństwa użytkowników: uzależnienie, łatwość rozprzestrzeniania się fake newsów, bezpieczeństwo dzieci.

W odpowiedzi ByteDance zmodyfikował swój produkt tak, żeby rozwiać obawy: wprowadził konieczność oznaczania treści wygenerowanych przez sztuczną inteligencję, zakaz wykupywania reklam o treści politycznej, ograniczenia dla młodszych użytkowników.

W lutym 2023 r. prezes platformy, singapurski biznesmen Shou Zi Chew, odpowiadał na pytania członków komisji amerykańskiego senatu zatroskanych *kryzysem związanym z seksualnym wykorzystywaniem dzieci w internecie*. Fragmenty tego przesłuchania są dość popularne na TikToku, zwłaszcza wystąpienie republikańskiego senatora Toma Cottona, który z pijackim uporem pytał Singapurczyka, czy przypadkiem nie jest Chińczykiem i czy należy do Chińskiej Partii Komunistycznej.

Rok później przyszłość TikToka w Stanach wydawała się przesądzona – Izba Reprezentantów zobowiązała ByteDance do sprzedaży aplikacji w ciągu sześciu miesięcy, grożąc, iż w przeciwnym wypadku dziecko chińskiego cyfrowego giganta zostanie usunięte z amerykańskiego internetu.

Po chaotycznej batalii prawnej, w której szczegóły nie warto wchodzić, TikTok zniknął – na kilkanaście godzin. Jego byt uratował Donald Trump. Dał on ByteDance dodatkowe 75 dni, zanim permanentny zakaz wejdzie w życie. Istnieje podejrzenie, że te 75 dni to czas nie tyle dla platformy, co dla nowej administracji, która może chcieć zająć nowe stanowisko w tej sprawie.

Meta nie lepsza

Rodzi się pytanie, czy cała ta historia dowodzi niebezpieczeństwa ze strony Chin lub – szerzej patrząc – mediów społecznościowych. Trudno jednoznacznie odpowiedzieć, ale z mojej perspektywy administracja Joe Bidena rozpoczęła walkę z wyimaginowanym niebezpieczeństwem. Piętnując (słusznie poniekąd) wycieki danych użytkowników, władze USA ignorują fakt, że podobnych praktyk dopuszczają się rodzimi przedsiębiorcy – co jest jawną hipokryzją.

Jeśli chodzi o obawy dotyczące potencjalnej sprzedaży tychże danych do Pekinu, trzeba pamiętać, że dane zbierane przez ByteDance dotyczą preferencji i gustów użytkowników, okazjonalnie ich lokalizacji. To dane zbierane – w mniejszym lub większym stopniu – przez każdy serwis funkcjonujący w necie. Nawet gdyby uznać, że informacje dotyczące preferencji zakupowych mogą być wykorzystane przez Pekin w wojnie handlowej z USA, to trzeba zdać sobie sprawę, że TikTok nie jest ich jedynym źródłem. Chińczycy i tak będą mieć do dostęp do takich danych, choćby dzięki rzeszy Amerykanów kupujących w chińskich sklepach internetowych pokroju Shein czy popularnego ostatnimi czasy Temu.

Problemy, które budzą niepokój amerykańskich legislatorów – fake newsy, zagrożenia dla prywatności czy bezpieczeństwa dzieci – występują na każdym portalu społecznościowym. Polityka TikToka w kwestii zwalczania manipulacji i mowy nienawiści jest naprawdę surowa i nieporównywalnie bardziej szczelna niż ochrona, którą oferuje Facebook i powiązane z nim aplikacje, dziś często zalewane treściami wygenerowanymi przez AI bez jakichkolwiek ograniczeń (ten problem dotyka szczególnie FB).

To, co mogę aplikacji zarzucić z własnego doświadczenia, to skrajnie uzależniający mechanizm działania, którego – co z bólem serca przyznaję – sam bywam ofiarą. W tej kwestii nie podejmę się obrony. To jednak kwestia, którą trudno prawnie uregulować. Całkowity zakaz TikToka to wylewanie dziecka z kąpielą – dla wielu przedsiębiorstw funkcjonowanie na nim stwarza szanse na rozwój. Te 12 godzin zaćmienia za oceanem wzbudziło w pierwszej kolejności gniew młodzieży będącej wszak głównym targetem ByteDance. Ale przy dłuższej nieobecności chińskiego giganta na amerykańskim rynku słowa oburzenia na pewno zaczęłyby płynąć ze strony właścicieli amerykańskich firm pozbawionych skutecznego medium reklamowego.

Europa kontra Elon

A co z przyszłością TikToka w Unii Europejskiej, z którą platforma też ma na pieńku?

Europejscy urzędnicy zdają się prezentować wyższy poziom racjonalności. Z ust rzecznika Komisji Europejskiej do spraw cyfryzacji padają zapewnienia, że Unii zależy na równym dostępie do wszystkich mediów społecznościowych i mimo trwających postępowań (a te dotyczą nie tylko TikToka, ale również X Elona Muska i Mety, a więc każdego gracza) żadnemu z cyfrowych gigantów europejski zakaz nie grozi. I choć UE ma możliwość zamykania platform, to przestrzeganie unijnych przepisów o rynkach cyfrowych woli egzekwować chociażby wysokimi grzywnami.

Zresztą, sprawa mediów społecznościowych w Europie ma się nieco inaczej niż za oceanem, a to dlatego, że i zarzuty są inne. Platformie Elona Muska zarzuca się głównie manipulacje informacjami. TikTok oskarżany jest m.in. o wpływanie na wyniki wyborów prezydenckich w Rumunii poprzez faworyzowanie jednego z kandydatów (co warto odnotować – prawicowego). Widać Europa dostrzega tę groźniejszą stronę mediów społecznościowych: możliwość wpływania na bieżącą politykę. Zresztą Elon Musk nie ukrywa swoich politycznych ambicji. I choć nie musi to być jednoznaczne z użyciem X we własnym interesie, to jednak ogólnoświatowy portal w rękach kapryśnego miliardera jest niebezpieczny sam w sobie.

Trzeba jasno powiedzieć, że cyfrowi giganci są zagrożeniem – jeszcze nie w pełni odkrytym. Ani zachodnie rządy nie do końca potrafią przeciwdziałać potencjalnym zagrożeniom, ani te potencjalne zagrożenia nie są póki co w pełni zdefiniowane. Pozostaje nam liczyć na rozwagę i mieć nadzieję, że władze pójdą w stronę regulacji, a nie cenzury.

NIKODEM KUSZ

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Dalszej depopulacji Ukrainy wydatnie służy zakrojona na szeroką skalę mobilizacja. Tygodnik „Polityka" opublikował wywiad z żołnierzem służącym w Wojskowej Komendzie Uzupełnień (WKU), który opowiada, jak wyglądają „ludołowy", czyli ukraińskie polowania na rekruta: *Kandydaci na żołnierzy są zastraszani: „Będziecie siedzieć tu miesiąc, aż podpiszecie wszystko co trzeba". Pierwszego dnia służby w WKU byłem świadkiem, jak bito młodego chłopaka.* (…) *[Bijemy, bo] wielu złapanych nie chce stanąć przed komisją lekarską. Zdają sobie sprawę, że jej pozytywna decyzja oznacza bilet na front.* (…) *Na szczególnie zatwardziałych też jest sposób. Wystarczy podrobić dokumenty, że komisja jednak się odbyła. I posłać człowieka na szkolenie. Zresztą powszechnie wiadomo, że te komisje to jedna wielka ściema. Kiedy mocno brakuje rekrutów, z góry przychodzi rozkaz: „Dziś wszyscy mają być zdrowi". Lekarz, który nie chce posyłać chorych na front, długo w komisji nie posiedzi. Był taki jeden, psychiatra, który nie chciał mobilizować zaburzonych i chorych psychicznie. Zastąpiono go innym, dla którego każdy szaleniec nadawał się do armii.* (…) *Nie miałbym nic przeciwko pracy w WKU, gdybyśmy posyłali na front także dzieci polityków czy bogaczy. Ale one przecież na wojnę nigdy nie pójdą. Był taki przypadek, że zatrzymaliśmy młodego mężczyznę w najnowszym Audi. Gość wyciąga dokumenty: okazuje się, że jest inwalidą pierwszej grupy, do tego asystentem posła, studentem studiów dziennych i jeszcze pracownikiem Ukraińskich Kolei Państwowych. Każdy z tych kwitów chroni go przed mobilizacją. Facet patrzy na mnie i pyta: „To który kwitek ci pokazać, żebyś się ode mnie odpierdolił?". Powiedziałem, żeby sobie poszedł. Nawet gdyby nie miał żadnego papierka, to dałby w łapę na WKU i by go wypuścili. Łapiemy i posyłamy na wojnę tylko biedaków. I nie ma gdzie się odwołać, poskarżyć. Kiedy na początku się buntowałem, usłyszałem, że jak mi się nie podoba, to mogą mnie posłać na Donbas do piechoty. A w piechocie, jak już mówiłem, szanse na przeżycie nie są największe.* (…) *Dziś szkolenie przygotowawcze trwa 45 dni. Wcześniej, gdy ja się zgłosiłem, trwało tylko 30. Pojawili się też zachodni instruktorzy. Z reguły niczego nie uczą, bo gówno wiedzą o współczesnej wojnie*.

Rys. MARCIN CHUDZIK

☆ Donald Trump rozmawiał przez telefon z Władimirem Putinem, a następnie podzielił się swymi refleksjami z amerykańską bulwarówką „New York Post". Cytujemy w całości: *[Putin] chce, żeby ludzie przestali umierać. Wszyscy ci martwi ludzie. Młodzi, piękni ludzie. Są jak twoje dzieci, dwa miliony z nich – i umarli bez powodu. Zawsze miałem dobre stosunki z Putinem. Biden był wstydem dla naszego narodu. Całkowitym wstydem. Mam nadzieję, że wojna zakończy się szybko. Każdego dnia giną ludzie. Ta wojna na Ukrainie jest tak zła. Chcę zakończyć tę cholerną rzecz. Rozpocznijmy te spotkania [z Rosjanami]. Oni chcą się spotkać. Każdego dnia giną ludzie. Młodzi, przystojni żołnierze są zabijani. Młodzi mężczyźni, tacy jak moi synowie. Po obu stronach. Na całym polu bitwy*. Miejmy nadzieję, że plan pokojowy będzie nieco mniej chaotyczny niż myśli Trumpa.

eprasa.pl 6f92167abc

Sytuacja w Gruzji jest trochę bardziej skomplikowana, niż donoszą polskie media

Zurabiszwili przerosła Dudę

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jeśli chodzi o łamanie konstytucji, to prezydent Gruzji Salome Zurabiszwili pobiła Andrzeja Dudę. Polski prezydent odmówił zaprzysiężenia sędziów Trybunału Konstytucyjnego wybranych przez KRS – jego gruzińska odpowiedniczka poszła dalej: nie uznała wyniku wyborów parlamentarnych. W związku z czym odmówiła zwołania inauguracyjnej sesji nowego parlamentu, co jest jej konstytucyjnym obowiązkiem. Decyzja Dudy doprowadziła do chaosu w obszarze sądownictwa – Zurabiszwili wprowadziła chaos w całym państwie.

Prezydent piłkarz

Pomimo sprzeciwu ze strony głowy państwa odbyło się posiedzenie nowego parlamentu – 25 listopada, w konstytucyjnym terminie 10 dni od ogłoszenia przez Centralną Komisję Wyborczą wyników głosowania. Jak argumentował premier Irakli Kobachidze, konstytucja stoi ponad aktami prezydenta. Na tym posiedzeniu posłowie bez problemów zatwierdzili skład rządu, który poza trzema ministrami nie różni się od wcześniejszego.

W proteście przeciwko rzekomym fałszerstwom wyborczym partie opozycyjne odmówiły przyjęcia mandatów poselskich, dając zwycięskiej partii Gruzińskie Marzenie komfort parlamentarnego monopolu. Salome Zurabiszwili, podobnie jak cała opozycja, oświadczyła, że wybory zostały sfałszowane – kiedy jednak prokuratura zwróciła się do niej o dowody, odmówiła, argumentując, że odpowiedzialność za gromadzenie dowodów spoczywa na organach prokuratorskich. Można by tu wysunąć kontrargument: że każdy urzędnik państwowy – a już szczególnie głowa państwa – który posiadł wiedzę o dokonaniu przestępstwa, a takim właśnie jest fałszowanie wyborów, ma obowiązek poinformować o tym stosowne organy.

Stawienia się w prokuraturze odmówili też szermujący hasłem wyborczych fałszerstw przedstawiciele opozycji. W odróżnieniu od pani prezydent oświadczyli, że do prokuratury nie mają zaufania.

Obywatele Gruzji po raz pierwszy nie wybierali prezydenta w wyborach powszechnych. Prawo wyboru miało kolegium elektorów: jego połowę stanowią posłowie, a reszta to przedstawiciele Abchazji (uważanej wciąż za część Gruzji) oraz Adżarii, a także ponad 100 przedstawicieli lokalnych samorządów. Z tego schematu jasno wynika, że głową państwa zostanie ten, kogo wskaże partia rządząca – tym bardziej że opozycja, która nie objęła mandatów poselskich, nie znalazła się w kolegium elektorskim.

Prezydentem został Micheil Kawelaszwili – były napastnik narodowej reprezentacji, później wieloletni deputowany, a obecnie sekretarz polityczny blisko współpracującej z Gruzińskim Marzeniem partii Siła Narodu. Jego kandydaturę przedstawił w parlamencie nieformalny – ale honorowy i faktyczny – przywódca Gruzińskiego Marzenia Bidzina Iwaniszwili, co opozycję utwierdziło w przekonaniu, że nowy prezydent będzie długopisem w rękach najbardziej wpływowego gruzińskiego oligarchy. Rekomendując swojego faworyta, Iwaniszwili obiecywał, że Kawelaszwili przywróci godność urzędu prezydenta; była to oczywiście wycieczka pod adresem Salome Zurabiszwili.

Kawelaszwili nie mógł zostać wybrany na prezesa związku piłki nożnej, ponieważ nie ma wyższego wykształcenia. Może natomiast być głową państwa – co akurat nas, w Polsce, nie powinno dziwić.

Pewnym zaskoczeniem był fakt, iż Kawelaszwili nie został wybrany jednogłośnie; przedstawicielka Abchazji oddała głos nieważny, wrzucając do urny pustą kartkę. Wyjaśniała, że wybór należałoby przemyśleć, a Kawelaszwili jest złym kandydatem i może przynieść szkodę Gruzji oraz swojej politycznej formacji.

Opozycja uparcie twierdzi, iż Kawelaszwili został wybrany nielegalnie, a głową państwa jest nadal Zurabiszwili. Sprawę komplikuje fakt, iż jedną z pierwszych decyzji nowego prezydenta było ułaskawienie – z okazji prawosławnych świąt – 613 więźniów; to znacznie więcej, niż jego poprzedniczka ułaskawiła podczas całej swojej kadencji. Teraz opozycja musi zdecydować: skoro prezydent jest nielegalny, czy to znaczy, że kilkaset ułaskawionych przez niego osób powinno powrócić do więzień?

Co dwie głowy (państwa)...

Kadencja Salome Zurabiszwili skończyła się 16 grudnia i na ten dzień zostały wyznaczone wybory prezydenckie. Jednak Zurabiszwili uparcie twierdzi, że nielegalny parlament nie ma prawa wyznaczać daty wyborów, toteż ona sama ma prawo nadal pełnić funkcję.

Nawet gdyby uznać argumenty o nieważności wyboru nowego prezydenta, to odmowa odejścia ze stanowiska po zakończeniu konstytucyjnej kadencji jest ewidentnym złamaniem prawa, a osoba która się tego dopuszcza, jest zwykłym uzurpatorem. Zurabiszwili ponadto zaproponowała opozycji utworzenie alternatywnego rządu; ogłosiła nawet, że ma kandydata na premiera, choć nazwiska nie ujawniła.

Choć Zurabiszwili głosi, że nadal jest głową państwa, to jednak w dniu zaprzysiężenia Kawelaszwilego opuściła pałac prezydencki i do swoich zwolenników przemawiała na ulicy przed gmachem: *Wyjdę stąd, wyjdę do was i będę z wami*… Decyzja o opuszczeniu siedziby prezydenckiej to jedna z nielicznych trafnych decyzji p. Zurabiszwili – w przeciwnym razie mogłoby dojść do jej siłowego wyprowadzenia, co oznaczałoby dalsze podgrzanie i tak już gorącej atmosfery politycznej, z trudnymi do przewidzenia konsekwencjami.

Obecnie wygląda na to, że Gruzja ma dwóch prezydentów. Jednego uznawanego przez społeczną większość, która wybrała parlament. I drugiego uznawanego przez świat zachodni z USA i Unią Europejską na czele.

Podobny precedens miał miejsce w przypadku Wenezueli, kiedy rotacyjny marszałek senatu Juan Gerardo Guaidó zakomunikował, że to właśnie on jest prezydentem, a nie wybrany w wyborach powszechnych Nicolás Maduro. Guaidó został uznany przez większość państw kolektywnego Zachodu. Podobnym względami będzie się zapewne cieszyć Zurabiszwili. Widać to po reakcji ze strony Stanów Zjednoczonych; Salome znalazła się w bardzo wąskim gronie zaproszonych na inaugurację prezydentury Donalda Trumpa. Oświadczyła, że podczas wizyty w Waszyngtonie ma zamiar reprezentować Gruzję i mówić tam w imieniu narodu. Z kolei administracja Bidena na odchodnym nałożyła sankcje na Bidzinę Iwaniszwilego i zarzuciła mu łamanie demokracji i wolności (oczywiście na polecenie Rosji), a także odchodzenie od kursu północnoatlantyckiego – co dla USA wydaje się najważniejsze. Politycy gruzińscy uniknęli jednak sankcji ze strony Unii Europejskiej z powodu sprzeciwu Węgier i Słowacji.

Nie udało się w Unii, to poradziło sobie Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy (PACE), gdzie nie obowiązuje zasada jednomyślności. Zgromadzenie większością głosów przyjęło rezolucję domagającą się przeprowadzenia do kwietnia powtórnych wyborów i zagroziło, że w przeciwnym razie gruzińska delegacja utraci miejsce w PACE. W odpowiedzi władze Gruzji zawiesiły uczestnictwo w pracach zgromadzenia. Premier Kobachidze nie wykluczył możliwości powrotu do PACE, jeżeli w Zgromadzeniu zmieniłby się stosunek do Gruzji, ale stwierdził też, że w obecnych warunkach uważa współpracę za bezsensowną. W podobnym tonie wypowiedziała się wiceprzewodnicząca parlamentu Tea Culukiani, kiedy oświadczyła, że Gruzja jest gotowa do dialogu, jednak na podstawie faktów, oraz że możliwe jest utworzenie grupy roboczej do omówienia spornych problemów na zasadach równości – a nie tak, aby *wielki mógł bić małego za to, że jest mały*.

Przyjęcie przez PACE antygruzińskiej rezolucji po raz kolejny uwidoczniło podziały wewnątrz Europy. Z jednej strony są siły bezrefleksyjnie – i, co za tym idzie, bezkrytycznie – popierające gruzińską opozycję tylko dlatego, że jest ona prozachodnia i antyrosyjska. To konserwatyści, liberałowie i zieloni do spółki z socjalistami, przy mocnym wsparciu ze strony Ukrainy. Te frakcje wystąpiły o usunięcie gruzińskich deputowanych z PACE. Z drugiej strony, w dążeniu do bezwarunkowej ratyfikacji ich mandatów Gruzję poparły Armenia, Bułgaria, Węgry i Turcja.

Unia musi poczekać

Pod koniec grudnia gruziński rząd ogłosił zawieszenie rozmów na temat członkostwa w UE do 2028 r., kiedy to – uzasadniał premier Kobachidze – Gruzja będzie do tych rozmów gotowa pod względem gospodarczym. Decyzja rządu – która wywołała protesty zwolenników szybkiej integracji z Unią – nie wzięła się z niczego. Była reakcją na rezolucję Parlamentu Europejskiego wzywającą do powtórzenia wyborów parlamentarnych, a także do nałożenia sankcji na gruzińskich polityków, łącznie z premierem. Władze w Tbilisi postanowiły nie tylko zawiesić procedurę negocjacyjną, lecz również odmówiły przyjmowania unijnych grantów ze względu na – jak cytuje agencja Reuters – „kaskadę obelg" skierowanych przeciwko Gruzji.

Przeciwnicy rządowej decyzji powołują się na konstytucję, gdzie znajduje się zapis o dążeniu do integracji z UE. Ale rządowe stanowisko mówi wyraźnie, że Gruzja nie rezygnuje z przystąpienia do Unii, a jedynie odwleka je w czasie. Rządzącej partii zarzuca się też, że oszukała wyborców, nie mówiąc przed wyborami o zamiarze opóźnienia negocjacji akcesyjnych. Rzecz w tym, że cały konflikt z Brukselą, zwieńczony tą decyzją, nie zaczął się przed wyborami, tylko po.

Początkowo protesty miały miejsce w Tbilisi – również z udziałem demonstrantów zwożonych do stolicy autokarami – później akcje protestacyjne rozlały się po innych gruzińskich miastach. Warto zauważyć, że do protestów dołączyli także ci, którzy nie kwestionowali wyniku wyborów parlamentarnych. Do dymisji podał się wiceminister spraw zagranicznych, czterech ambasadorów w krajach europejskich i USA oraz szef placówki dyplomatycznej we Włoszech. Swoje niezadowolenie wyrazili także urzędnicy merostw w Tbilisi i Batumi, a nawet niektórzy pracownicy Trybunału Konstytucyjnego i Ministerstwa Obrony.

Do protestów dołączały kolejne grupy zawodowe: ludzie kultury czy pracownicy sektora turystycznego (swoją drogą, w ubiegłym roku turystów z krajów UE było w Gruzji ponad trzykrotnie mniej niż rosyjskich). Oprócz studentów, którzy od początku byli siłą napędową protestów, uaktywnili się także uczniowie szkół średnich oraz dzieci prawosławnych duchownych. Hierarchia cerkwi zdaje się być po drugiej stronie; patriarcha Ilia II przyjął na audiencji nowo wybranego prezydenta.

Protesty prounijne miały zasięg o wiele większy niż te skierowane przeciwko wynikowi wyborów. Na ostatnich wiecach pojawiały się, owszem, postulaty przeprowadzenia ponownych wyborów – ale wyraźnie dominowała kwestia integracji. Można z tego wysnuć dwa wnioski.

Po pierwsze: perspektywa europejska interesuje ludzi bardziej niż spór wewnętrzny. Może dlatego, że ugrupowania antyrządowe nie proponują wyborcom żadnych konkretnych programów, ograniczając się do żądania wyborczej powtórki. Warto też zauważyć, że w akcjach protestacyjnych brali udział pracownicy prywatnych firm, kawiarni, restauracji, sklepów i aptek, którzy ogłosili zamknięcie na trzy godziny swojej działalności – natomiast nie odnotowano robotniczych strajków w zakładach przemysłowych.

Drugi wniosek jest taki, że partii rządzącej udało się odwrócić społeczną uwagę od kwestii wyborów. To trochę tak jak amatorskie leczenie akupunkturą: jeżeli boli cię ząb, to wbij se szpilę w łokieć, nowy ból zagłuszy stary. I to odwrócenie uwagi ma swoją kontynuację: ponieważ podczas protestów doszło do zatrzymań ich uczestników, to teraz organizowane są wiece domagające się ich uwolnienia. Przypomina to sytuację sprzed pół wieku, kiedy porywano samoloty po to, by wymusić uwolnienie poprzednich porywaczy. Zurabiszwili próbowała nakierować protesty na poprzednie antywyborcze tory, zapowiadając spotkania w różnych regionach, co miało pokazać, że przeprowadzenia nowych wyborów domagają się mieszkańcy całego kraju. Pomysł chyba nie chwycił, bo była prezydentka ograniczyła się do jednego takiego wyjazdu.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Były szef amerykańskiego wywiadu Richard Grenell zaproponował, aby w ramach oszczędności budżetowych zamknąć Radio Wolna Europa. *Tak, zamknijcie je. Europa – poza duszącą ją biurokracją – jest wolna, a poza tym i tak nikt tego nie słucha* – skomentował entuzjastycznie doradca Trumpa Elon Musk. Pomysł spóźniony o 75 lat, ale i tak cieszy.

„Newsweek" prezentuje najnowsze ukraińskie statystyki demograficzne: *Według danych opublikowanych przez ukraińskie ministerstwo sprawiedliwości, w roku 2024 na Ukrainie odnotowano 495 090 zgonów. Ta liczba, będąca skutkiem krwawej wojny z Rosją, jest niepokojąca — zwłaszcza gdy zestawimy ją z liczbą zanotowanych w ubiegłym roku urodzeń, których było prawie trzykrotnie mniej. Według danych resortu w 2024 roku na Ukrainie odnotowano 176 679 urodzeń. Ich wskaźnik spadł o 5,7 proc. w porównaniu z rokiem 2023*. Cóż, pustoszeją dzikie pola.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 6f92167abc

Gospodarka drepcząca

Polski wkład w innowacyjność sprowadza się do likwidacji godziny religii tygodniowo

Rys. WIDGET

Minęło ponad 16 lat od czasu, gdy wraz z bankiem inwestycyjnym Lehman Brothers padła na chwilę na pysk nie tylko gospodarka świata, ale przede wszystkim neoliberalna recepta na świetlaną przyszłość.

Co mądrzejsi ekonomiści w stylu Sachsa, przechrzcili się na zwolenników udziału państwa w trzymaniu niewidzialnej ręki rynku za rękę. Petru i inni Balcerowicze na to wszystko są zaimpregnowani. Powtarzają mantry sprzed 40 lat i zaklinają rzeczywistość. Opowieści typu: „najlepszą polityką przemysłową jest jej brak" wśród światowych ekonomistów od lat wzbudzają uśmiech politowania.

Państwowe potęgi

Bo prawda jest dla neoliberałów bolesna. Historia ostatnich lat pokazała, że na ekonomiczną niezależność wybijają się tylko ci, za którymi murem stoi państwo. Zniszczona po wojnie Japonia rzuciła się początkowo w wolny rynek. Dostała po łapach i zaczęła wspierać to, co – według rządów – miało państwu zapewnić przyszłość. Ulgi, dofinansowania, zwolnienia i inne działania, które w prawdziwym liberale wywołują obrzydzenie, zaczęły skutkować już po paru latach. Jeszcze pod koniec lat 60. „japońszczyzna" była synonimem nietrwałego, ale taniego badziewia. Na początku lat 70. japońskie samochody i motocykle gwarantowały jedynie comiesięczne wizyty w serwisie. A jednak na początku lat 80. Wałęsa nie chciał budować drugiej Irlandii, Grecji czy Włoch, ale już właśnie Japonię. Po 30 latach inwestowania Kraj Kwitnącej Wiśni stał się marką.

Z pewnym opóźnieniem tą drogą podążył Tajwan, a potem kraj, który 60 lat temu był klasyfikowany pośród potęg ekonomicznych typu Burundi czy Botswany. Kraj o nazwie Korea Południowa. Ponad ćwierć wieku zajęło im dogonienie Polski w połowie lat 80. I to mimo tego, że rządzili tam źli generałowie, bo jedyne niusy docierające stamtąd do nas, dotyczyły kolejnych zadym studentów z wojskiem i policją.

Kapitalistyczna Korea miała wtedy gospodarkę podobną do naszej. Dominowały w niej parapaństwowe firmy giganty, czyli czebole. Czebole zajmowały się produkowaniem wszystkiego i eksportowaniem tego za wszelką cenę. Tyle że Koreańczycy eksportowali na cały świat, a my głównie do krajów RWPG. Oni mieli dostęp do najnowszych zdobyczy techniki komputerowej – my niekoniecznie, bo obowiązywało embargo na transfer informatyki dla sojuszników ZSRR.

Przy takim samym PKB jak nasze w roku 1985 Koreańczyk zarabiał na godzinę jednego dolara. My według czarnorynkowego kursu zarabialiśmy co prawda dolara dziennie, ale peerelowskie ceny na szczęście nie miały nic wspólnego z notowaniami wolnorynkowymi. Gdyby zestawić wartość siły nabywczej ich i nas, wyszłoby na jedno. Władze PRL do końca traktowały zresztą ten kraj jako biedę z nędzą. Jeszcze w roku 1989 wyroby z Korei miały zerową stawkę cła przynależną krajom Trzeciego Świata! Miały, choć nad Wisłę trafiały tysiącami magnetowidy i telewizory z napisami Lucky i Gold Star.

Montownie i szczęki

Ale i na nich, i na nas spłynęła demokracja. W Korei rządy wybrane w demokratycznych wyborach są od 1987 r., u nas – od 1989. Koreańczycy nie mieli Balcerowicza, więc nie miał kto rozparcelować czeboli, które kwitły w najlepsze. Koreańskie produkty zaczęły być rozpoznawalne na świecie, a koreańskie firmy zaczęły inwestować za granicą. W Polsce pojawiło się Daewoo, a z nim Leganza, Nubira, Tico, Matiz.

My odreagowywaliśmy komunizm i rozwijaliśmy twórczo koncepcję międzynarodowych bazarów i szczęk ulicznych. Tymczasem Korea okazała się przykładem sukcesu gospodarki planowej. Kolejne południowokoreańskie plany pięcioletnie (szósty z lat 1987–1991 i siódmy z lat 1991–1996) zakładały rozwój elektroniki i nowych technologii. Na inwestycje przeznaczano ponad jedną trzecią PKB rocznie. U nas cieszono się, gdy powstawała kolejna montownia do skręcania przywiezionych z zagranicy podzespołów.

Faktem jest, że koreański wzrost odbywał się kosztem obywateli, których płace rosły znacznie wolniej niż dochód przedsiębiorstw i państwa, a od których wymagano zasuwania po kilkanaście godzin dziennie. Zresztą zostało im to do dziś. Koreańczycy we wszystkich rankingach pracowitości wciąż są na czele. I to mimo że ichniejsze bezrobocie na poziomie 2,4 proc. oznacza, że kto chce, ten pracuje. Tyle że już nie za miskę ryżu. Z takich samych zarobków jak my przed 40 laty Koreańczycy wybili się na miesięczne dochody na poziomie 3 tys. dolarów miesięcznie. My, mimo że w pracowitości gonimy Koreańców, mamy medianę zarobków na poziomie połowy tego.

Kryzys azjatycki lat 1997–1998 zniszczył Koreę opartą na rozwoju przemysłowym, eksporcie i taniej sile roboczej, ale powołał do życia Koreę opartą na innowacyjności. Europejski Urząd Patentowy w 2019 r. dostał z Polski 469 wniosków. Koreańskie firmy Samsung i LG zgłosiły wtedy po 2800 patentów.

Rzecz jasna większość tych patentów to kombinacje związane z informatyką. Po prostu w czasie, gdy my debatowaliśmy, czy cukier ma być polski, a esbeccy siepacze z urzędów paszportowych godni są otrzymywania emerytur, rząd koreański wsparł budowę sieci światłowodowych między największymi miastami, a potem zachęcał firmy, instytucje i obywateli do korzystania z internetu m.in. przez organizację kursów internetowych dla osób w starszym i średnim wieku. U nas przychodził Rywin do Michnika, a w Korei w 2004 r. powstał pięcioletni plan rozwoju sportu elektronicznego i branży gier sieciowych, dwa lata później zaś – ustawa o przemyśle gier komputerowych. Producenci rozrywkowego oprogramowania dostali wysokie ulgi podatkowe, a nagrody dla zwycięzców w sporcie elektronicznym obciążone były znacznie niższym podatkiem niż w przypadku gier tradycyjnych. Polski rząd w tym czasie hazard w sieci zlikwidował.

Przez lata radosnego polskiego liberalizmu Korea odjechała od nas o lata świetlne. PKB mają ponad dwukrotnie taki jak my. Samsung, LG, KIA czy Hyundai to uznane marki. My mamy Wałęsę i Jana Pawła II.

Niewidzialna ręka robota

I choć występuje u nas śladowe bezrobocie, to mamy uczelnie kształcące dla papierka, mamy szkoły, w których nie wykorzystuje się tego, co zgotował los, czyli zwiększenia efektywności nauczania z powodu mniejszej liczby dzieci w klasach. Klasy, zamiast liczyć po 20 uczniów, mają mieć ponad 30. Bo na etatach nauczycielskich można zaoszczędzić. A pracownik do montowni lub klikania w klawiaturę w korporacji za 6 tys. zł miesięcznie nie może być zbyt przemądrzały.

Tymczasem Korea nie osiągnęłaby tak długotrwałego wzrostu gospodarczego, gdyby koncentrowano się jedynie na wykorzystywaniu atutu taniej siły roboczej. W obliczu stopniowego wzrostu kosztów pracy tamtejszy rząd inwestował w rozwój wiedzy. Na początku głównie w szkolnictwo podstawowe i sprowadzanie technologii z zagranicy, a z czasem w coraz większym stopniu w szkolnictwo wyższe oraz sferę badań naukowych. Według analizy Banku Światowego akumulacja wiedzy była głównym wkładem do długookresowego wzrostu gospodarczego Korei Południowej.

O akumulacji polskiej wiedzy niech zaświadczy ranking innowacyjności krajów UE – jesteśmy w grupie wschodzących innowatorów. Pod tą nazwą kryje się tyle, że w innowacyjności unijnej za nami są tylko Rumunia, Bułgaria i Litwa.

Przez wiele lat polski przemysł opierał się na taniej sile roboczej, dlatego brak innowacyjności był niejako wpisany w gospodarkę. Rozumiały to doskonale wszelkiej maści uczelnie, które udawały, że uczą, oraz studenci z pokolenia wytnij–wklej udający, że studiują. Tymczasem koszty pracy stały się u nas porównywalne z Zachodem, a w innowacyjności nic się nie zmieniło. Polscy przedsiębiorcy wciąż bardziej przypominają nadzorców niewolników niż inteligentną klasę średnią.

Co z tego, że Polacy odkryli niebieski laser? Co z tego, że wymyślili coś, co będzie przyszłością elektroniki, czyli tani sposób produkowania płatków grafenu? Zamiast doposażyć takich gości w kaskę i rozpocząć produkcję, rząd wolał subwencjonować spółki giełdowe budżetowymi pieniędzmi poprzez otwarte fundusze emerytalne.

Wszak to wspierało wolny rynek, a finansowanie nowoczesnego polskiego przemysłu byłoby grzechem rozrzutności. I dlatego, zamiast sprzedawać, kupujemy. Zamiast wytwarzać, montujemy, a zamiast zarządzać, kopiujemy.

W Polsce używa się wielokrotnie mniej robotów niż w krajach z konkurencyjnymi, nastawionymi na eksport gospodarkami. To charakterystyczne dla gospodarek dysponujących tylko tanią siłą roboczą.

Z danych wynika, że liczba robotów na 10 tys. pracowników w Polsce wynosi 42, podczas gdy średnia światowa to prawie 130. Najwyższe wskaźniki są w Korei Pd. – niemal 1000. A mimo to bezrobocie tam nie istnieje. Mało tego, Korea wciąż kupuje olbrzymie liczby robotów przemysłowych, bo tamtejsza władza daje na to ulgi podatkowe w ramach długoterminowej strategii gospodarczej.

Rys. OBYWATEL JANEK

Nasze rządy od lat trzęsą tyłkami na myśl, że mogłyby zrobić coś, co nie spodoba się zachodnim inwestorom, coś, co spowoduje spadek konkurencyjności polskiej gospodarki. To idiotyczna mantra. Wszystkie dane pokazują, że pieniądze inwestorów lokowane są głównie w największych gospodarkach. I to takich, gdzie zarobki są kilkukrotnie wyższe niż u nas. Nasi publicyści ekonomiczni zaś leją krokodyle łzy, gdy do Polski nie wchodzi kolejna montownia, bo nie uzyskała znacznego upustu podatkowego.

Może zatem ci publicyści wytłumaczą, po jaką cholerę ktoś inwestuje w Korei. Przecież praca jest tam droga. Bezrobocie nie pozwala na wynegocjowanie stawek minimalnych, a wpływ państwa na gospodarkę jest olbrzymi. Co to za idioci inwestują tam rok w rok kilkanaście miliardów dolarów?

Wkładają tę kaskę w realne biznesy, a nie na ruletkę giełdową. Mimo że obok jest kolejne eldorado inwestycyjne, czyli Chiny.

Gdy Wałęsa mówił o drugiej Japonii, o potężnej Korei nikomu się nie śniło. Od tej pory my szliśmy pieszo, oni uciekali Hyundaiem. My ślizgaliśmy się na utopiach Miltona Friedmana, oni odlatywali wraz z kolejnymi pięciolatkami. Nie wspominając o tym, że gdy prezydent bryknął im niedemokratycznie, wprowadzając na kilka godzin stan wojenny, to tamtejsza demokracja pozbyła się go po paru dniach. Nam takie utrącanie autorytarystów zajęło osiem lat.

TADEUSZ JASIŃSKI

REKLAMA

eprasa.pl 6f92167abc

Baba z jajami?

Bywają takie

Ktoś, kto uważa, że Kanada powinna być 51. stanem USA, Grenlandia nie zasługuje na autonomię, a Kanałem Panamskim nie mają prawa pływać Chińczycy, gorąco zaprotestuje: bo płcie są dwie, koniec kropka. Kobieta nie może mieć jąder. Oczywiście jąder nie może mieć, ale jaja, zwane z hiszpańskiego *cojones*, może mieć, i to jakie!

Od dawna lubiłem patrzeć na grę serbskiej siatkarki Jeleny Blagojević. Nie chodzi o samą grę. W najlepszych drużynach wszystkie zawodniczki wiedzą, co robić z piłką. Jelena imponuje przy tym niesamowitym sprytem. Nigdy nie wiadomo, co zrobi. Po zdobyciu punktu uśmiecha się szelmowsko. Ma posłuch wśród koleżanek, nie należy natomiast do ulubienic sędziów.

Gdy przez sześć lat grała w Developresie Rzeszów, była kapitanką drużyny. Po każdej spornej sytuacji podchodziła do sędziego i usiłowała go przekonać do swoich racji. Koleżanki próbowały jej wytłumaczyć, żeby tego nie robiła. Nie kłóć się wciąż. Sędzia się do nas zrazi i później będzie gwizdać przeciw nam…

– Ja się wcale nie kłócę, ja flirtuję – odpowiadała z tym charakterystycznym uśmiechem, a koleżanki tłumaczyły jej, że flirt polega jednak na czymś innym.

Tu trzeba zaznaczyć, że Jelena Blagojević prędko nauczyła się języka polskiego. Serbski i polski należą do rodziny języków słowiańskich, więc miała prostsze zadanie, niż uczyć się tureckiego, chińskiego czy włoskiego, a w klubach tych krajów też grała. Czasem tylko zabawnie zmienia końcówki. Jelena gra w siatkówku, je kiełbasku, rozgrywa setu itp.

Jako kapitanka drużyny ma prawo rozmawiać z sędziami. Korzysta z tego często i energicznie. Później puszcza oczko do koleżanek, tak jakby chciała, żeby wiedziały (a widzowie przy okazji także), że protestowała tylko dla zasady, żeby pokazać swoje miejsce na boisku.

Przez sześć lat „Jelka” – jak mówią na nią koleżanki – grała w rzeszowskim Developresie i od razu została kapitanką zespołu. Po raz pierwszy zdarzyło się to cudzoziemce. W Rzeszowie zaprzyjaźniła się z zawodniczkami, najbliżej chyba z grającą na pozycji libero Pauliną Peret, która niedawno – po zakończeniu kariery sportowej – została kierowniczką drużyny Developresu.

To właśnie Paulina namówiła koleżankę do kupienia mieszkania w Rzeszowie. Będzie miała gdzie wracać, choć oczywiście najbardziej związana jest ze swoim rodzinnym krajem. O tym, jak silna jest przyjaźń siatkarek, świadczy fakt, że Paulina, udzielając wywiadu dla klubowej telewizji i opowiadając o „Jelce”, miała łzy w oczach.

A gdzie tu wspomniane jaja, czyli *cojones*? – ktoś zapyta. Czy autor tylko mamił nas atrakcyjnym wstępem, żeby zachęcić do czytania całego tekstu? Nie lubimy takich prymitywnych sztuczek – pomyślą niektórzy Czytelnicy, tym bardziej że wiele mediów specjalizuje się w sensacyjnych tytułach wiadomości, które niewiele mają wspólnego ze znajdującą się pod nimi treścią.

Derby z wyrazami

Od razu uspokajam. Prawdziwe *cojones* pokazała Jelena Blagojević po niedawnym ćwierćfinałowym meczu Pucharu Polski jej obecnej drużyny Budowlani Łódź z lokalnym rywalem ŁKS Commercecon. Drużyna Blagojević przegrała w pięciu setach po niezwykle zaciętym i stojącym na bardzo wysokim poziomie meczu. Po spotkaniu tradycyjnie poproszono przedstawicielki obu drużyn o komentarz przed kamerą i mikrofonem telewizji Polsat Sport.

Jelena Blagojević, obok słów dotyczących meczu, wystosowała apel do kibiców. Apel tak ważny, że pozwolę sobie przytoczyć jego obszerne fragmenty. Zastanawiałem się, czy cytować dosłownie zawodniczkę, z tymi jej zabawnymi końcówkami wyrazów, ale postanowiłem przedstawić go w poprawnej wersji, zwłaszcza że słownik w komputerze bez przerwy wprowadzałby mi zmiany. Jedno obiecuję: bardzo ważne słowo zacytuję w oryginalnej wersji, nie będę go wykropkowywać.

Oto apel Jeleny Blagojević:

Fajne widowisko, pełna hala ludzi. Każdy kibicował swojej drużynie, ale jest jedna rzecz, której nie potrafię zaakceptować.

Jestem bardzo długo w Polsce, ale jeżeli kibice mówili do mojej koleżanki, że jest kurwą – przepraszam za słowo, ale muszę to powiedzieć – to jest wstyd. To jest mecz siatkarski, a nie piłka nożna, gdzie można wszystko.

Mecz meczem, szkoda gdy się przegrywa, ale serce mi pęka, że nie potrafimy się zachować sportowo tak, jak zasługuje na to polska siatkówka. Tym bardziej że wasza kadra robi takie fajne rzeczy.

Miło, że Blagojević wspomniała o kadrze. Dobrze wiedzieć, że jest nie tylko reprezentantką Serbii, z którą dwukrotnie wygrała mistrzostwo Europy (2017, 2018 r.) oraz zdobyła srebrny medal olimpijski, ale od jakiegoś czasu pełni też funkcję asystentki trenera kadry.

Wracamy do apelu po ćwierćfinałowych derbach Łodzi: *Trzeba szanować jednych i drugich. Gdy się odwróciłam, widziałam tego pana, który miał obok siebie pięcioletnie dziecko. Tym bardziej serce mi pęka. To brzydki element tego meczu. Te dziewczyny, które grają w siatkówkę i zarabiają, nie zasługują na takie traktowanie. Pęka mi serce i chce mi się płakać, gdy słyszę takie rzeczy.*

W siatkówce na szczęście rzadko mamy do czynienia z takim zachowaniem kibiców. Tu atmosfera była wyjątkowo gorąca, bo derby Łodzi w futbolu są meczami najwyższego ryzyka. W siatkówce zarówno Budowlane, jak i ŁKS dzielą tę sama halę – kibice obu drużyn zapełnili trybuny do ostatniego miejsca.

Oba kluby prędko zareagowały na słowa Blagojević. W wydanych oficjalnych komunikatach przeprosiły za zachowanie kibiców i zapewniły, że dołożą starań, aby sytuacja już nigdy się nie powtórzyła. Na spotkania siatkarskie, podobnie jak żużlowe, przychodzą całe rodziny, począwszy od dziadków, a na wnukach skończywszy. Niestety, w halach siatkarskich i na stadionach żużlowych coraz częściej obserwujemy tak powszechne w kraju skłóconych ludzi zdziczenie obyczajów. Czy naprawdę musiał przyjechać ktoś z zagranicy, żeby zwrócić na to uwagę? Czy musiał na antenie przed godz. 22 użyć słowa „kurwa”, żeby zrobiło się o tym głośno w mediach? Gdyby nie Jelena, kurwy z trybun w siatkarskich halach latałyby coraz częściej, a prędko dołączyły do nich inne podobne słowa, a może nawet rękoczyny. Jeśli jakiś proces zaczyna się rozwijać, później trudno go zatrzymać.

„Jelka” i inne

Tyle o Jelenie Blagojević. Pisząc o sportsmenkach z jajami, nie powinno się zapominać o naszej srebrnej medalistce w boksie olimpijskim Julii Szeremecie, o nieustraszonych zawodniczkach mieszanych sztuk walki Joannie Jędrzejczyk i Karolinie Kowalkiewicz. Na dobrą sprawę każda dziewczyna czy kobieta uprawiająca sport wyczynowo musi mieć te *cojones*, o których piszę. Główna różnica polega na tym, że jedne sportsmenki są bardziej znane, inne – mniej. Jedne wyraźniej zaznaczają swoją osobowość, drugim przychodzi to z większym trudem.

Co można na przykład powiedzieć o Poli Bełtowskiej z Zakopanego? Podczas konkursu Pucharu Świata w Lake Placid 18-letnia polska narciarka skoczyła na odległość 131 m, czym pobiła rekord kraju. Jeśli ktoś uważa, że narciarka nie musi mieć jaj, żeby oddać taki skok, niech wejdzie na szczyt skoczni, spojrzy w dół i wyobrazi sobie, że ma stamtąd pomknąć na nartach. Popatrzyłem kiedyś w dół ze szczytu Wielkiej Krokwi i jądra gwałtownie mi się skurczyły. A ta dziewczyna poleciała.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zupełnie inna sprawa, że rekord nie zostanie uwzględniony w żadnych tabelach. Ze względu na warunki atmosferyczne seria została przerwana, więc rezultaty wcześniej uzyskane przestały istnieć. Jasne, że jeśli wiatr wieje zbyt mocno, trzeba przerwać zawody, bo do skakania w takich warunkach wcale nie trzeba mieć jaj, trzeba być pozbawionym rozumu. Ale moim zdaniem, rekordowy skok miał miejsce i nie można ot tak sobie go wygumkować. Najwyżej przy wyniku postawić gwiazdkę i w przypisie zaznaczyć, że konkurs został odwołany. Rekord należy do Poli.

Niestety, w rozpoczętym od nowa konkursie nie było już tak dobrze, ale Pola ma przed sobą całą karierę. Śmiało, dziewczyno!

A teraz – jak mawiali w „Latającym cyrku Monthy Pytona” – coś z zupełnie innej beczki. Chcę napisać o kobiecie, która nie uprawia sportu, ale wspiera sportowca, i to nie tylko podczas jego sukcesów, także w najtrudniejszym czasie. Do tego trzeba męstwa nie mniejszego niż do wchodzenia do klatki MMA przeciw utytułowanej rywalce czy skakania na nartach.

Duński żużlowiec Patrick Hansen podczas pierwszoligowego meczu uczestniczył w groźnej kraksie i został odwieziony do szpitala. Diagnoza była fatalna: uszkodzony rdzeń kręgowy. Złamana kostka i obite płuca były już czymś mniej istotnym. W każdym razie najpierw musiał przejść kilka skomplikowanych operacji.

Po kilku dniach nadeszła ze szpitala pierwsza optymistyczna wiadomość. Hansen wysłał filmik, na którym pokazał, że delikatnie poruszył palcem stopy. Oznaczało to, że rdzeń kręgowy nie został całkowicie przerwany. Rozpoczęła się żmudna rehabilitacja. Patrick postawił przed sobą nierealny – wydawałoby się – cel. Chce wrócić do ścigania się na żużlu.

W dobrych rękach

Szczęście Hansena polegało na tym, że otaczali go życzliwi ludzie: lekarze, fizjoterapeuci, działacze klubu. Żużlowiec nauczył się świetnie mówić po polsku, do tego stopnia, że występuje nawet jako komentator telewizyjny. Podczas pandemii został w Polsce ze swoją partnerką. I to dla niej nauczył się mowy Mickiewicza, ale nie tylko jej, bo dobrze radzi sobie także ze śląską godką.

Lekarze po pracy wracali do domu, pielęgniarki miały pod opieka wielu pacjentów, zajęcia z fizjoterapeutami trwały w określonych godzinach. Cały czas przy Patricku była jego życiowa partnerka Martyna Skiba.

Najpierw Patrick tylko leżał na łóżku. Martyna musiała go karmić i przewijać, jak niemowlaka. Później uczył się raczkować jak kilkumiesięczne dziecko, chodzić na kolanach i łokciach. Kolejny etap rozwoju malucha to pionizacja. Ten etap także musieli wspólnie przejść Martyna i Patrick. Gdy już jako tako zaczął chodzić, zapragnął dosiadać żużlowego motocykla. Martyna prowadziła partnera do lekarzy sportowych, którzy mogli wydać zgodę na wznowienie treningów. Nie wyrażali. Trzeba było jeździć na treningi za południowa granicę, bo tam patrzyli na to przez palce. I oboje jeździli.

Canal+ pokazał serial o powrocie Hansena na tor zatytułowany „Niemożliwe”. Kamera towarzyszyła żużlowcowi przez wiele dni, od rehabilitacji w szpitalu do startu w pierwszych niewielkich zawodach. Serial jest o Patricku, gdzieś w tle cały czas widzimy jednak ciemnowłosą dziewczynę. Rzadko zabiera głos.

Wreszcie powiedziała: *Bez sportu nie widzę Patricka. Wszystko, co robi, robi po to, żeby wrócić do tego, co kocha. I ja go będę wspierać, nawet jeśli mam do tego inne podejście*.

A masz? – pyta dziennikarz Tomasz Dryła. *Mam* – pada krótka odpowiedź.

To jedno zdanie – moim zdaniem – wystarczy, żeby znaleźć się w tekście o babach w sporcie, które mają jaja.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 12.02.2025 r.

eprasa.pl 6f92167abc

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– A czy ta kozetka, panie doktorze, nie załamie się pode mną? Dobrze, wszystko panu opowiem o tym dniu. Obudziłem się ze świadomością, że swędzi mnie mózg. Ale jest za krótka, nogi mi wystają. Coś mi chodziło po głowie. Jakaś sytuacja, położenie, pozycja. Stan! Stan błogosławiony, no przecież nie. Ani stan odmienny. Stan zdrowia. Poważny stan. Mam kłopoty z prostatą, sikam często. Stan skupienia sików: ciekły. A wie pan, że jest też czwarty stan? Plazma. Cztery są także stany społeczne: szlachta, duchowieństwo, mieszczaństwo i chłopstwo. Z jakiego stanu ja pochodzę? Nie zgadnie pan, panie doktorze. Wracając do tego poranka: coś mi się kołacze w głowie, coś się obija o czaszkę. Stany. Stany Generalne? Nie. Stany Zjednoczone? Też nie. Rada Stanu? Tym bardziej nie. Nie jestem stanu wolnego, lecz zajętego. W takim jestem stanie cywilnym. Znam się na tym, bo trzeba panu wiedzieć, że jestem prawnikiem. Wie pan? Musi pan również wiedzieć, że noszę spodnie raczej luźne w stanie. Oraz marynarkę nie do stanu, czyli niedopasowaną. Nie, raczej nie jestem mężem stanu, chociaż czasem bywam w stanie wyższej konieczności. Jak ja to rozumiem? Że muszę coś zrobić właśnie ze względu na swędzący mózg. Coś za mną chodzi, niekiedy coś do jedzenia, niekiedy coś do powiedzenia, rzadziej coś do zrobienia. Tego dnia czułem, że coś powiem, coś ważnego. To coś takiego jak umysłowy stan wyjątkowy. Czy pamiętam stan wojenny? Skąd to pytanie? Słabo, ale pamiętam. Mówię o prawdziwym stanie wojennym, a nie umysłowym. Nigdy nie zastanawiałem się, na czym wtedy polegała racja stanu, byłem nastolatkiem, wyrośniętym, ale nastolatkiem. To była zdrada stanu! Wołali na mnie grubas. Ile wówczas mogłem ważyć? Ja wiem, osiemdziesiąt? Miałem jedenaście lat, osiemdziesiąt to było dużo. Za dużo. Wie pan, jak to jest. Im więcej się je, tym bardziej się tyje, im bardziej się tyje, tym bardziej jest się pogardzanym, im więcej pogardy, tym więcej jedzenia. Stan zaklętego kręgu czy raczej błędnego koła. I stan strachu. Lęku przed brakiem akceptacji. Jestem więźniem tego stanu. Samotności. Miewam urojenia? Jakiego rodzaju? No tak, często wydaje mi się, że jestem szczupły. Chudy. I wtedy wszystko jest inne, lepsze, weselsze, nic nie swędzi, zwłaszcza mózg. Taka, można powiedzieć, tajemnica stanu, prawda? Tego dnia nie mogłem sobie znaleźć miejsca, to siadałem, to wstawałem, to się kładłem, żeby odpocząć, uspokoić się, lecz coś mi się wwiercało w mózg, coś go drążyło, drylowało. Myślałem, że jeśli potrwa to dłużej, jeśli czegoś nie zrobię, to mi głowa wybuchnie. I nagle mnie olśniło. Opadło na mnie światło. Światłość, można powiedzieć. I od razu nastał spokój, ponieważ zdałem sobie sprawę, że to zamach, panie doktorze. Zamach stanu!

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA zadzwoniła do **JOANNY SENYSZYN**. Co się nie odzywasz? – zapytał Wołk. Mąż mi umarł – odpowiedziała Joanna.

Wołk-Łaniewska: – Tak mi przykro, kochanie.

Senyszyn: – A mnie! Byliśmy małżeństwem prawie 50 lat.

– To musiał być wyjątkowy facet…

– Że ze mną wytrzymał?

– To też, bo bycie mężem radykalnej feministki może nie być łatwe. A do tego, za przeproszeniem, publicznej. Ale miałam na myśli to, że ty się z nim nie nudziłaś tyle czasu.

– Bolek zawsze bardzo się cieszył, kiedy gdzieś kandydowałam. Choć chory, był szczęśliwy, że mam kandydować na prezydenta. A jeszcze bardziej go radowało, kiedy wygrywałam…

– Mimo że to oznaczało, że nie będzie cię w domu? Czy dlatego?

– No dziękuję ci bardzo… Nie, to chyba nie było najważniejsze. Bolek szanował moją pracę, tak jak ja szanowałam jego. I nigdy nie czuł się zagrożony moimi sukcesami. Przeciwnie. Był z nich dumny.

– Był adwokatem?

– Tak, a przedtem najmłodszym w Polsce sędzią.

– To może dlatego. Myślę sobie, że bycie sędzią może dawać człowiekowi taką spokojną pewność siebie.

– A także satysfakcję i poczucie, że jeśli się jest uczciwym, mądrym i zna prawo, można się dobrze przysłużyć społeczeństwu i sprawiedliwości. Niekoniecznie w wielkich i doniosłych sprawach. Na przełomie lat 60. i 70. ubiegłego wieku Bolo rozsądzał sprawę o podział majątku po rozwodzie. Bieda aż piszczy, mieszkanie z kwaterunku, mało co jest do podziału, facet się wykłóca o każdy talerz, szklankę, stołek. Kiedy dochodzi do większych rzeczy, kobieta z płaczem mówi, że bardzo by chciała szafę, bo gdzieś musi trzymać ubranka czwórki małych dzieci. Na to facet z pijackim zacietrzewieniem, że chyba jej rozum odebrało, bo szafa jest więcej warta niż cała reszta ich majątku. A Bolek spokojnie: *Proszę zaprotokołować to oświadczenie.* Po czym przydzielił rozwodnikowi szafę, a jej wszystko inne. Kobita aż się popłakała ze szczęścia.

– „Bolo”?

– Jak się poznaliśmy, Bolo palił wyłącznie Marlboro i koledzy łasi na cudzesy mówili: *Bolo, daj Marlboro.* Na początku naszego małżeństwa jeszcze palił, ale że nie znosiłam dymu, to latem na balkonie, a zimą w toalecie, i szybko doszedł do wniosku, że to żadna przyjemność. A że w tym czasie u naszego przyjaciela zdiagnozowano raka strun głosowych czy krtani, to się przestraszył i tym bardziej rzucił palenie.

– A przyjaciel?

– Żył jeszcze kilkadziesiąt lat, choć natychmiast po operacji do palenia wrócił.

– Widzisz, palenie nie jest takie złe… A jak się poznaliście, skoro się już zgadało?

– W andrzejki, na imieninach jego kolegi adwokata, który mi się kilkakrotnie bezskutecznie oświadczał. Bolek był bardzo krytykowany przez całe towarzystwo za ostatni wyrok śmierci, który wydał kilka dni wcześniej.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Jak to „ostatni”? To ile ich wydał?

– Trzy. I wszystkie utrzymał w mocy Sąd Najwyższy. Choć nigdy tego nie żałował i był przekonany o słuszności – uznał, że to zbyt wielkie obciążenie psychiczne i odszedł z sądu. Tym bardziej że musiał też wyznaczyć datę i godzinę egzekucji.

– Nigdy o tym nie myślałam: o obciążeniu, jakim wydanie takiego wyroku jest dla sędziego, nawet jeśli prawo tego od niego wymaga. Dopiszę to do listy powodów, dla których jestem zerojedynkowo przeciwna karze śmierci. Tak gdzieś na 267. miejscu. Wracając do waszego poznania…

– Jako jedyna stanęłam w jego obronie i wtedy między nami zaiskrzyło. Miałam już prawie napisany doktorat. Pół nocy gadaliśmy o pracy w sądzie i książkach, bo Bolo był erudytą. Poczułam, że to mężczyzna mojego życia, ale byłam zajęta kończeniem doktoratu, a on akurat odchodził z sądu, bo uznał, że decyzje o życiu i śmierci są zbyt obciążające.

– Wiesz co, nie jestem jakoś szczególnie romantyczna, ale jakbym poznała mężczyznę mojego życia, to może bym mu poświęciła odrobinę uwagi, niezależnie od tego, jak bym była zajęta… Żeby mi nie umknął czy coś…

– Jakoś się nie martwiłam, mimo iż wróciłam do domu już z taką myślą, że wyjdę za niego za mąż…

– Tak to ludzie trwonią lata, pisał wieszcz Boy…

– Nie aż od razu lata. Drugi raz, znowu przypadkiem, spotkaliśmy się 13 marca, na Krystyny. I wtedy już poszło błyskawicznie. W następnym tygodniu odwiedziłam go w jego nowym mieszkaniu, które dopiero co dostał. I zaczęłam od przeszkolenia. To znaczy: stoję w przedpokoju w kożuchu, a on też stoi jak słup. No to zsunęłam kożuch z ramion na podłogę i weszłam do pokoju. Od tego czasu przez prawie 50 lat, kiedy wchodziłam do domu, zawsze czekał w przedpokoju i zdejmował mi płaszcz, a kiedy wychodziłam – podawał.

– Szybko się uczył.

– Był niezwykle inteligentny, błyskotliwy, z poczuciem humoru i ogromną wiedzą prawie na każdy temat. Był kimś, z kim nigdy się nie nudziłam, a widywaliśmy się regularnie, raz, dwa razy w tygodniu. Kiedy na początku czerwca powiedziałam, że wyjeżdżam na prawie miesiąc ze studentami do Leningradu, poprosił mnie o rękę, bo tego jeszcze nie miał. Oczywiście się zgodziłam. Pewnie byśmy się pobrali dużo szybciej, ale ciężarówka zabiła jego jedenastoletnią bratanicę i cała rodzina okryła się żałobą. Skromny, cywilny ślub wzięliśmy 13 listopada 1976 r.

– Cywilny – to oczywiste, ale dlaczego skromny? Jak ja bym kiedykolwiek brała ślub – co nigdy mnie specjalnie nie korciło, nie żeby były tłumy chętnych – to bym aferę zrobiła jak stąd do Timbuktu. To jedyny dobry powód do małżeństwa, który przychodzi mi do głowy…

– Inne czasy były i obyczaje. Tylko istota relacji męsko-damskich pozostaje taka sama. Młode dziewczyny bardzo często popełniają ten błąd, że na początku chcą ukochanemu przychylić nieba, zmiatają pyłki spod stóp. Po jakimś czasie przechodzi im chęć nadskakiwania, ale jest za późno, bo już rozpuściły partnera. Ja od pierwszego dnia miałam wymagania. A przed ślubem, żeby uniknąć kłótni, ustaliliśmy, że we wszystkich ważnych sprawach decyzje będzie podejmował on, a w nieważnych ja.

– Tak ździebko niefeministyczne to było.

– Z pozoru. Ale wyobraź sobie, że w naszym małżeństwie ważnych spraw nie było. Bolo wyniósł z domu przekonanie, że całą kasą dysponuje matka, i tak też było w naszym małżeństwie. Dzięki temu, że nie mieliśmy dzieci, nie było kłótni na tle ich wychowania. Odpadły więc dwa najpoważniejsze powody małżeńskich kłótni: pieniądze i dzieci.

– To brzmi jak recepta na szczęście.

– Tak. Ale najważniejsze, żeby we właściwym czasie spotkać odpowiedniego mężczyznę. A potem już nie spotkać odpowiedniejszego.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 6f92167abc